

Hana Rozyn-Batista

Historia Hanki

*Przeżycia 6-letniej dziewczynki w czasie II wojny światowej
W Polsce*

Tłumaczyła z hebrajskiego autorka



Tą książkę poświęcam pamięci
Gertrudy Z., która była
mi matką od lat sześciu aż do
swojej przedwczesnej śmierci.

W s t ę p

Tragiczne wydarzenia II-giej Wojny Światowej opisano już na różne sposoby, nakręcono też wiele filmów, zgromadzono mnóstwo dokumentów, relacji naocznych świadków i chociaż tyle czasu upłynęło od tamtych dni, każda nowa informacja na ten temat paraliżuje mnie na nowo. Czuję wciąż niedosyt informacji, a chęć poznania prawdy jest silniejsza ode mnie. Ciągle mam wrażenie, że jeszcze są rzeczy, o których nie wiem.

Jestem częścią tej wielkiej tragedii, a pytanie: dlaczego? Dlaczego to wszystko się stało? Dlaczego zabrano mi rodziców, dzieciństwo, dom rodzinny? Jak wyglądałoby moje życie, gdybym była z nimi? Niestety tego się już nigdy nie dowiem.

Kiedy wspominam tamte, tak odległe dni, wydaje mi się, że to było dopiero wczoraj.

Widzę wciąż obraz tej małej bezbronnej dziewczynki, którą byłam, stojącej naprzeciw okrutnej rzeczywistości. Czasem trudno mi uwierzyć, że to ja. Tak, jakbym przyglądała się z boku, widząc kogoś innego

Jeszcze kiedy mieszkałam w Polsce, znany pisarz polski Kalman Segal (Żyd), chciał opisać moją historię, ale jakoś nic z tego nie wyszło: raz on nie miał czasu, a raz ja. Spotkałam go znów w Izraelu i wtedy powiedział, że teraz to już napewno będziemy mogli wreszcie zająć się książką o moim życiu.

Rozmawialiśmy godzinami przez telefon, ale zanim zaczęliśmy pisać, Kalman przeniósł się do lepszego świata. Mam nadzieję, że tam gdzie się teraz znajduje jest mu lepiej i nie jest taki samotny, jak był na tym świecie.

Minęło kilka lat, zanim ja sama zabrałam się za pisanie. Moi nowi przyjaciele tutaj w Izraelu przekonali mnie, że moim obowiązkiem jest napisać moje wspomnienia, bo one są ważnym dokumentem historycznym i świadectwem tego, co przeżyły dzieci w czasie Drugiej Wojny Światowej.

Zacząłam pisać po polsku, ale było mi bardzo trudno opisać to co przeżyłam. Pewnego dnia spróbowałam pisać po hebrajsku i to było dużo łatwiejsze, być może dlatego, że język hebrajski jest bardzo zwięzły i dużo prościej można wyrazić uczucia. Od momentu, kiedy zaczęłam pisać, nie mogłam oderwać się od pisania i codziennie chociaż kilka słów musiałam przelać na papier.

Samo pisanie było dla mnie terapią, która wyzwoliła mnie z ciężaru, który leżał mi na sercu i wróciła mi radość życia.

Dzisiaj jestem bardzo zadowolona z tego, że to zrobiłam, a chociaż to, co napisałam o rodzinie która mnie uratowała mogłoby rzucić na nich złe światło, nie należy zapominać o tym, że uratowanie żydowskiego dziecka mogło skończyć się śmiercią całej rodziny.

Dlatego pozwolę sobie nie wyjawiać ich nazwiska pisząc o nich, tym bardziej, że cała rodzina już nie żyje. Ja osobiście jestem im ogromnie wdzięczna za to, że mnie uratowali, a ich nazwiska są uwiecznione jako 'SPRAWIEDLIWI' w miejscu, gdzie figurują imiona i nazwiska tych, którzy uratowali Żydów w czasie drugiej Wojny Światowej. Miejsce to znajduje się w Jerozolimie i nazywa się Yad-vaShem.

Podziękowania

Chciałabym tą drogą podziękować tym wszystkim, którzy mnie dopingowali do pisania i pomogli mi w redakcji wersji hebrajskiej a szczególnie Dziuni Ben-Sasson, Itzachowi Hay i Marii Bieleckiej oraz tym wszystkim, których nie jestem w stanie wymienić, bo wielu pomogło mi w tak w redakcji, jak i w wydaniu wersji hebrajskiej.

Tym niemniej muszę podziękować tym, którzy pomogli mi w przygotowaniu polskiej wersji: Zosi Wawrzyniak, która z całym sercem zabrała się do korekty, Małgosi Piątkowskiej, która też włożyła dużo pracy w jej przygotowaniu, Joannie Brańskiej za doping i znalezienie wydawcy no i na dodatek Zespołowi Szkół Plastycznych im. Jacka Malczewskiego w Częstochowie za oprawę graficzną i wydanie tej książki.

Przed sł ow i e

W czasie mojej pracy w organizacji która zajmowała się wyszukiwaniem żydowskich dzieci, które uratowały się w Polsce u Polaków lub w klasztorach, dowiedziałam się w roku 1971 od rabina Frenkla, który był głównym rabinem Izraela i równocześnie dyrektorem tej organizacji, że w Polsce w polskiej rodzinie żyje młoda kobieta Hanka Rozen Z.

Ta wiadomość dotarła do nas od brata jej ojca i brata matki, żyjących tu w Izraelu.

Zwróciliśmy się natychmiast do Pani Holzerowej w Belgii, która była naszą współpracownicą i Ona stała się odpowiedzialną za przyjazd Hanki przez Belgię do Izraela.

Moje pierwsze spotkanie z Hanką odbyło się na lotnisku w odprawie paszportowej, gdzie rozpoznałam ją wg. szczegółów ubioru jaki opisała mi Pani Holzerowa.

Przede mną stała młoda, robiąca wrażenie swoją elegancją kobieta. Eleganckie czarne futro i szaro czarna futrzana czapka.

Zadziwiła mnie natychmiast swoją samodzielnością, inteligencją i doskonałą umiejętnością orientacji.

W pierwszych chwilach Hanka była zawstydzona, czuła się oszukana bo miała nadzieję spotkać swoją rodzinę w Belgii i nic nie wiedziała o całym programie, który dla niej przygotowano.

Staralam się ją pocieszyć, że ja też opuściłam Polskę i wszystko co złe, było tam, a tutaj jestem szczęśliwa. Jej odpowiedź brzmiała : " A ja zostawiłam tam wszystko co dobre, ciekawą pracę, przyjaciół i znajomych."

Uspokoiliam ją trochę i powiedziałam jej, że czeka ją tutaj kochająca rodzina, która stoi niedaleko stąd z kwiatami i jej zdjęciem.

Powiedziałam jej też, żeby była z rodziną ile zechce być, a jeśli nie zechce zostać z nimi, to będzie mogła stąd wyjechać.

Hanka w końcu znalazła wspólny język z rodziną i stała się prawdziwą izraelitką.

Jej wyjątkowa osobowość była wyczuwalna na każdym kroku. Zaczęła uczyć się hebrajskiego na Ulpanie i bardzo szybko opanowała nowy dla niej język i szybko znalazła nowych przyjaciół.

Po skończeniu Ulpanu znalazła pracę w swoim zawodzie jako programistka na maszyny cyfrowe w Głównym Biurze Statystycznym i tam doszła do cenionego stanowiska.

Trzeba dodać, że kilka lat pomagała w naszej organizacji w nawiązaniu kontaktów z tymi, którzy uratowali się w polskich rodzinach lub w klasztorach. Zajmuje się też tymi, którzy przyjeżdżają tutaj na zaproszenie naszej organizacji, tłumaczy listy z języka polskiego i prowadzi dwustronną korespondencję.

Dziunia Ben-Sasson

Droga Hanko!

Chciałbym Ci podziękować za honor jakim dla mnie jest możliwość przeczytania Twojej książki, książki prześląkniętej smutkiem i bezkondycyjnym bólem.

Były momenty, że nie byłem w stanie zapanować nad łzami i zacząłem płakać, starając się nie zamoczyć łzami książki.

Czasem wydawało mi się, że litery stoją w ogniu. Nie wystarczyło mi jedno przeczytanie i czytałem znów i za każdym razem chciałem rozwiązać zagadkę, która nazywa się : " Hanka".

Trudno mi zrozumieć jak pomimo wszystko wyszłaś z tego wszystkiego co przeszedłaś, normalna i pełna radości życia, na tle okropności wojny i to wszystko nie tknęło Ciebie.

Jest to dowodem niezwyklej osobowości, energii i widocznie zdrowych korzeni tradycji Twoich przodków.

Widzieć Cię dzisiaj, nawet dzień po dniu, to radość dla oczu, robi dobrze dla serca: energiczna, szybka, pełna pozytywności, lubiąca życie, pełna radości i optymizmu. Może to wszystko jest podarunkiem za smutne dzieciństwo.

Zwyciężyłaś życie.

*Itzhak Hay
Kolega z pracy*

“Tato, dlaczego nie ma gwiazd na niebie?
i dlaczego mamy gwiazdy na ubraniu?
ich nigdy tam nie było, zawsze mówiłeś,
że gwiazdy są na niebie i oświetlają nam
drogę w ciemności”.

Ojciec odpowiedział:

„Córeczko, kiedy są w niebie burze i nie
widać gwiazd, Pan Bóg nadal nas kocha,
On zdejmuję gwiazdy z nieba i kładzie
nam na ubrania, blisko serca, żeby nas
pilnowały z bliska”.

(Jakub Barzilai urodzony na Węgrzech w 1933 roku
Uratowany z obozu Bergen-Belsen)

Kim Ty Jesteś Dziewczynko?

Całe moje życie myślałam, że urodziłam się 12 kwietnia 1938 roku w Częstochowie na Rakowie.

Moją mamę Ittę pamiętam bardzo niewyraźnie, jedynie w nielicznych chwilach spędzonych razem z nią. Z żalem muszę przyznać, że te nieliczne momenty nie były przyjemne, a ich wspomnienie do dziś wywołuje we mnie ból i żal. Nie pamiętam - ani uścisku macierzyńskiego, ani pocałunku i nie mam ani jednego wspomnienia, któreby wskazywało na miłość macierzyńską.

Wiadomo mi, że byliśmy z mamą w getcie. Opowiedzieli mi wujkowie, że moja mama uciekła z getta, a mnie wywieziono z getta na wozie ze śmieciami, gdzie jakoś mnie schowano pod śmieciami. Naprawdę szczęście, że tego nie pamiętam.

Z tych nielicznych epizodów, które sobie przypominam, moja matka traktowała mnie bardzo surowo. Dzisiaj tłumaczę to sobie, że być może tragiczne przejścia spowodowały tę jej oschłość, być może zdawała sobie sprawę, że okazywanie uczuć może mnie bardziej przywiązać do niej, a przewidywała, że niestety razem nie możemy przetrwać.

Dzisiaj wiem też, że moja mama była sierotą, może dlatego nie umiała okazywać uczuć. Jak było naprawdę nigdy się nie dowiem, dziś już jej wybaczyłam, szczególnie po tym, że kilka miesięcy temu otrzymałam jej zdjęcie, na którym jest taka piękna i taka smutna...

Powiesiłam jej fotografię nad stołem gdzie znajduje się mój komputer i nawet teraz na nią patrzę.

Kiedy byłam dzieckiem było mi bardzo trudno bez wspomnień o matczynej miłości.

W mojej pamięci zachowałam wspomnienie z Domu Starców, w którym ukrywałyśmy się przez pewien czas. Dom ten był w Częstochowie na ulicy Wesołej i prowadziły go zakonnice. Oprócz mnie pamiętam kilkoro innych dzieci, które też tam były. Przypominam sobie jedną z zakonnice z miłą twarzą, uśmiechniętą, która zawsze w kieszeniach miała cukierki i zawsze nam je dawała, kiedy biegałyśmy za nią.

Mieszkałyśmy w dużej sali pełnej białych, żelaznych łóżek, ustawionych dość ciasno w dwóch rzędach.

Przypominam sobie jedynie, że na krawędzi, na przedostatnim łóżku w końcu sali wisiały w siatce moje zabawki. Były to maleńkie spodeczki i filiżaneczki z grubego przeźroczystego szkła.

Pewnego dnia mama rozzłościła się na mnie o coś, schwyciła siatkę z moimi zabawkami i z całej siły uderzyła mnie w głowę.

Słyszałam jakiś krzyk, nie wiem mój, czy może mamy, nie pamiętam bo straciłam przytomność. Po tym zdarzeniu do dziś mam na czubku głowy głęboką bliznę.

Najbardziej wstrząsające było wydarzenie z naszej ostatniej kryjówki na przedmieściu Częstochowy, niedaleko młyna. Były tam ogródki działkowe z altankami, w których przechowywano narzędzia ogrodnicze. Ukrywałyśmy się na jednej z działek, z której wyjście prowadziło prosto na puste pole. Furtka była stale zamknięta, a mnie nie wolno było wyjść nawet z altanki. Furtka była dla mnie symbolem granicy pomiędzy więzieniem i wolnością, strachem i radością.

Pewnego dnia, z niewiadomego powodu, furtka była otwarta, a ja byłam taka ciekawa jak wygląda świat za ogrodzeniem, nie wiem jak to się stało, że znalazłam się na zewnątrz i zaczęłam rozglądać się dookoła. Przede mną rozciągało się puste pole jak gdyby bez końca, blisko furtki rosło drzewo, a w oddali stał dom, który wydawał mi się bardzo wysoki.

Dowiedziałam się później, że był to 2- piętrowy młyn. Trudno mi dziś określić odległość. Było to więcej niż 50 metrów. Ciekawe, że pamiętam to tak wyraźnie. Było późne popołudnie, słońce chyliło się ku zachodowi. Pamiętam też, że panowała nieprawdopodobna cisza, nawet liście na drzewie nie drgnęły. Było coś paraliżującego w tej ciszy, jakby czas się zatrzymał w oczekiwaniu na coś złego, co ma się wydarzyć.

Nagle ciszę przerwał warkot silnika. Pamiętam czarny samochód, który zatrzymał się koło budynku młyna. Wszedł z niego żołnierz w niemieckim mundurze z jakimś zawiniątkiem w rękach, podszedł od tyłu i z zawiniątka wyjął niemowlę. Schwycił je za nóżki i z całej siły uderzył o samochód.

Stałam jak wryta, jakbym zapuściła korzenie - nie byłam w stanie się ruszyć. W tym momencie matka zaniepokojona moją nieobecnością, zaczęła mnie szukać i zobaczyła, że jestem na polu. Chwyciła mnie za rękę, wciągnęła na działkę i zaczęła mnie bić, a ja nawet nie byłam w stanie płakać. Byłam w szoku, nie mogłam uwierzyć w to, co widziałam.

Ten moment utkwiał w mojej pamięci i do dziś widzę w swojej wyobraźni tę scenę jak żywą.

Ojca pamiętam w jednym tylko momencie - kiedy wyprowadzano go z domu. Tak myślałam przez wiele lat, ale to nie był nasz dom, tylko piekarnia mojej babci. W podwórku była duża brama zamykana długim drągiem, która była otwarta, koło mnie

stała moja mama i płakała, ja też płakałam, ale chyba nie wiedziałam dlaczego. Mama była ubrana w czarną spódnicę i czarny blezer w białe podłużne paski. Widzę do dziś uśmiechniętą twarz ojca, otoczonego kilkoma żołnierzami z bronią. Może uśmiechał się tylko do mnie?

Stał z poniesionymi w górę rękoma, jakby wołał niebiosa o pomoc, ale to były czasy, kiedy niebiosa były głuche na ludzkie modły. Dlaczego żołnierze stali z karabinami skierowanymi w niego, jakby się bali, że on sam nieuzbrojony może im w jakiś sposób zagrozić?

Jako dziecko zastanawiałam się nieraz, co mój dobry tatuś mógł zrobić złego, że go zabrano. Z perspektywy czasu trudno mi zrozumieć, jak on mógł w takiej sytuacji zdobyć się na uśmiech, widocznie chciał nas uspokoić.

Po jakimś czasie wyrzucono nas z naszego schowka.

Był to szary pochmurny dzień 16 czerwca 1943 roku. Datę tę znalazłam na jedynym fałszywym dokumencie, jaki posiadałam. Wyjaśnię później, był to najdłuższy i najtrudniejszy dzień w moim krótkim, 6-cio letnim życiu.

Po tym, gdy nas wyrzucono nie miałyśmy dokąd pójść. Poszłyśmy w kierunku centrum miasta i tam, na moście mama przykucnęła przede mną - widziałam ponad jej głową zachmurzone szare niebo. Dała mi zawiniątko i powiedziała mi, że to ostatnia kromka chleba i że więcej nie mamy.

„Pilnuj jej! A teraz idź pod ten adres”- i dała mi kartkę z adresem na której było nazwisko, ale nie wiedziałam czyje.

„Pytaj ludzi o ten adres i idź tam do tej Pani, ona Ci powie co masz zrobić i gdzie iść, a ja tam potem przyjdę.”

Wyczułam w jej zachowaniu jakiś ogromny smutek, przyglądała się mojej twarzy tak, jakby chciała ją zapamiętać. Oczywiście nie mogłam wiedzieć, co Ona czuła w tym momencie. Była pewna, że nie ma dokąd pójść i w nadziei, że może uda się jej chociaż mnie uratować, posłała mnie do obcej kobiety, bo sama postanowiła popełnić samobójstwo.

I nic - ani uścisku, ani pocałunku. Poszłam bez jednego słowa w kierunku, który mi wskazała i nawet się nie odwróciłam, żeby zobaczyć czy ona jeszcze tam stoi.

Kiedy wspominam te chwile, pytam sama siebie:

„Czy moja mama mnie kochała”?, Czy to możliwe, że nie?

Normalne dziecko schwyciłoby matkę i powiedziałoby, że nie pójdzie bez niej, może powinnam była to zrobić, ale wtedy dzieci nie były już dziećmi, była wojna trzeba było milczeć i słuchać, słuchać i milczeć. Dlaczego?... tak spokojnie się zgodziłam iść pod nieznaną adres do obcej kobiety, dlaczego nie poszła ze mną?

Czy może ja jej nie kochałam? Jeśli tak, to dlaczego?

Może brakowało jej odwagi, aby okazać mi miłość w momencie, kiedy mnie żegnała.

Dlaczego nie pamiętałam jej twarzy, nawet kiedy o niej śniłam - była bez twarzy. Kiedy po raz pierwszy zobaczyłam jej zdjęcie w 1971 roku, nie mogłam uwierzyć, że to moja matka, myślałam, że to pomyłka. Dlaczego nie znajduję w niej niczego znajomego?

Dowiedziałam się później, że po tym kiedy mnie posłała do tej obcej kobiety, skoczyła z mostu do rzeki Warty, ale nie zabiła się, tylko złamała nogę i ludzie zabrali ją do szpitala.

Kobieta, do której mnie mama posłała mieszkała w 3-ciej Alei. Nie było jej w domu, więc czekałam na nią dobrych kilka godzin, przyglądając się dzieciom beztrudno bawiącym się w piaskownicy.

Po tym gdy ona przyszła, przeczytała kartkę którą moja mama napisała. Widziałam, że się zaniepokoiła. Nawet nie wpuściła mnie do swojego domu, tylko złapała mnie za rękę powiedziała mi, że trzeba szybko iść. Ciągnęła mnie z 3-ciej Alei do 1-szej. Dotarliśmy do kościoła Św. Zygmunta. Tam dała mi kartkę i powiedziała, że kiedy msza się skończy mam dać ją księdzu, a sama zniknęła.

Kościół był pełen ludzi, widocznie wojna spowodowała, że ludzie szukali nadziei w Bogu, ale Pan Bóg był widocznie zajęty innymi sprawami... Czekałam dość długo, aż wszyscy opuścili kościół a kiedy ksiądz go zamknął, podeszłam do niego i dałam mu tę kartkę.

Ksiądz przeczytał ją, popatrzył na mnie i powiedział ze smutkiem: "Moje biedne dziecko, ja nie mam nawet gdzie Ciebie położyć na jedną noc, mam pełno dzieci, bardzo mi przykro".

Po wojnie słyszałam, że w piwnicy pod kościołem uratował wiele żydowskich dzieci.

Byłam tak zmęczona, że ledwo trzymałam się na nogach. Nawet nie przyszło mi do głowy, żeby zjeść tę kromkę chleba, bo mama nie mówiła mi, że mogę ją zjeść, powiedziała mi tylko, że mam jej pilnować. Nie piłam też nic cały dzień. Zbliżał się wieczór, a my z mamą wyszliśmy z ostatniego schowka wczesnym rankiem.

Było mi już wszystko jedno i nie bardzo zdawałam sobie sprawę z tego co mówił ksiądz. Stałam i nie wiedziałam, co ze sobą zrobić, a on się rozejrzał dookoła, zobaczył młodą parę i ich zawołał. Powiedział im, żeby mnie zaprowadzili na ulicę Wesołą do Domu Starców, gdzie poprzednio ukrywałam się z mamą.

Zanim doszliśmy tam, minęła godzina policyjna i siostry klasztorne bały się otworzyć bramę. Naprzeciwko Domu Starców stał budynek, a na podwórku ludzie siedzieli na ławce i przysłuchiwali się temu, co się dzieje. Ci młodzi ludzie stukali nadaremnie do bramy. Po jakimś czasie otworzyło się okno na górze i zakonnica zapytała: "Kto tam?"

Było już zupełnie ciemno i nie mogłam rozpoznać, czy to jedna z sióstr, które znałam. Chłopak odpowiedział, że przyprowadzili dziewczynkę, która nie ma gdzie pójść, ale zakonnica stanowczo powiedziała, że nie wolno jej otworzyć po godzinie policyjnej i zatrzasnęła okno.

Przypominam sobie tą chwilę - co najdziwniejsze, nawet jak byłam ubrana: miałam na sobie jasnoniebieską sukienkę robioną na drutach, niebieski płaszczyk w tym samym kolorze i czapeczkę z daszkiem, a na niej zrobione z wełny coś w rodzaju maleńkich laleczek przyczepionych z przodu. W sumie byłam ubrana bardzo starannie. Czy to nie dziwne, że pamiętam jak w takiej chwili byłam ubrana?

Kiedy zakonnica zatrzasnęła okno, ludzie którzy siedzieli na podwórku zawołali nas i zaczęli mnie wypytywać czy umiem się modlić. Oczywiście umiałam, bo mnie zakonnice nauczyły mnie i po polsku i po łacinie. Nie pamiętam więcej pytań, bo ledwo trzymałam się na nogach.

W pewnym momencie wyszedł z domu młody człowiek, rozzłościł się na nich ,wziął mnie na ręce i powiedział im, że powinni się wstydzić zamęczać tak dziecko, które ledwo stoi na nogach. Zabrał mnie do swojego mieszkania. Pamiętam, że otworzyły się drzwi i oślepiło mnie światło, bo na ulicy było już zupełnie ciemno.

Gdy mnie wniósł do mieszkania zobaczyłam kilka osób siedzących dookoła stołu i jedzących kolację. Posadzono mnie na kolanach najstarszego mężczyzny, a ja natychmiast zasnąłam.

Moja Nowa Rodzina

Rano obudziłam się w normalnym czystym łóżku, co za przyjemność!. Pierwszym pytaniem, jakie zadałam mojej nowej opiekunce, było: "Gdzie jest moje zawiniątko, które dała mi moja mama ?". Okazało się, że było pod łóżkiem. Po kilku dniach wyrzucono tę ostatnią kromkę chleba, bo była spleśniała.

Na początku zwracałam się do moich wybawców per Pani i Pan, po krótkim czasie zaproponowali mi, żeby nazywać ich ciocią i wujkiem, bo ten nowy wujek postarał się przez kogoś znajomego o fałszywy dokument, że jestem córką jego siostry ze wsi.

Na tym fałszywym dokumencie ktoś, chyba nowa ciocia napisała datę 16 czerwca 1943 roku, dzień, kiedy trafiłam do ich domu. Pamiętałam nazwisko Koziarska, o którym wiedziałam, że nie jest moim nazwiskiem, było ono też na tym fałszywym dokumencie.

Na początku w nowej rodzinie prawie nic nie mówiłam. Jeśli pytano mnie o coś, palcem dawałam znak na zgodę lub na nie. Chowałam się po kątach, starałam się, żeby mnie nie zauważano.

Pewnego razu, gdy, przyszła ta kobieta, która mnie zaprowadziła do kościoła i chciała wiedzieć co ze mną się stało, zaczęłam krzyczeć i kurczowo złapałam nową ciocię. Płakałam i trzymałam ją za nogi, bo bałam się, że ta kobieta przyszła mnie zabrać.

Na pewnym etapie, zaproponowano mi, żebym ich nazywała ojcem i matką, a trochę później powiedziano mi, że jestem ich córką, na co ja odpowiedziałam, że mogą mówić co chcą, a ja, wiem swoje.

Od tego momentu będę ich nazywała ojcem i matką, a kiedy będę pisać o moich prawdziwych rodzicach dodam wyjaśnienie.

Pamiętam, jak wyglądała sypialnia, gdzie spałam z mamą: duże łóżko: prawdopodobnie ojciec w nim spał również, a ja panicznie bałam się nocy, szczególnie kiedy trzeba było wstać do ubikacji, która prawdopodobnie była wspólna na półpiętrze, jak w większości domów. To była cała procedura. Najpierw trzeba było zapalić światło i czekać, aż podłoga zmieniała kolor z czarnego na czerwony, bo setki karaluchów szukały gdzie się schować, wtedy razem z mamą wstawaliśmy i szliśmy do ubikacji. Na krok nie ruszałam się bez niej.

Pewnego popołudnia wszyscy gdzieś poszli i powiedzieli mi, żebym nikomu nie otwierała drzwi. Zamknęłam drzwi od wewnątrz, położyłam się i zasnęłam. Kiedy wrócili, nie mogli dostać się do domu, bo dobudzenie mnie było niemożliwością. To było pierwsze piętro i Staszek - starszy syn - wszedł po drabinie przez otwarte okno, otworzył drzwi i wszyscy weszli do domu. Mama mnie rozebrała i położyła spać, a ja obudziłam się dopiero rano. Wtedy mi opowiedzieli w jaki sposób dostali się do domu.

Muszę przyznać, że moi nowi rodzice musieli być bardzo odważnymi i ofiarnymi ludźmi, skoro zdecydowali się na to, żebym została u nich. Wiadomo było przecież powszechnie, że za pomoc Żydom grozi kara śmierci dla całej rodziny.

Jak już pisałam, naprzeciwko był dom starców, gdzie poprzednio ukrywałam się z mamą. Jedna z zakonnicek, pracowała też w szpitalu, do którego trafiła moja mama, po nieudanej próbie samobójstwa. Ona powiedziała mojej nowej mamie, że mama Itta

znajduje się w szpitalu. Moja nowa mama poprosiła ją aby przekazać jej, że jestem w dobrych rękach i żeby się o mnie nie martwiła.

Po krótkim czasie widocznie ktoś z sąsiadów doniósł, że w rodzinie jest nowa dziewczynka, a jej matka leży w szpitalu. Pewnego dnia pojawiło się dwóch mężczyzn ubranych po cywilnemu i zabrano mnie z mamą do szpitala. Tam powiedziano mi, żebym poszukała swojej mamy. Obeszłam powoli całą salę, na sekundę zatrzymałam się przy łóżku mamy Itty i podeszłam do mojej nowej mamy. Objęłam jej nogi i powiedziałam: "To jest moja mama".

Pytacie, dlaczego tak postąpiłam?, nie wiem do dzisiaj, czasem sama zadaję sobie to pytanie. Ale widocznie to nas uratowało.

Mój ojciec ożenił się z mamą będąc wdowcem. Miał dwóch synów. Z tego małżeństwa urodził się syn, który zmarł po miesiącu. Być może chcieli mieć dziecko, a ja trafiając do nich, w jakiś sposób zaspakajałam uczucia macierzyńskie.

Ojciec urodził się w 1894 roku, a mama była młodsza od niego o 16 lat, to znaczy On miał 49 lat, a Ona 33 w 1943 roku..

Synowie byli już dorośli: starszy Staszek miał 29 lat, a Edek młodszy, prawdopodobnie miał 21.

Moja mama była wspaniałym człowiekiem. Niewysokiego wzrostu, pełnej budowy ciała, miała bardzo ładną, okrągłą twarz, z oczami pełnymi życia i wyrazu. Włosy ciemne z przedziałkiem z lewej strony, z prawej zawsze przytrzymywała włosy zwykłą spinką. Zawsze była schludna, pachniała mydłem, a jej skóra miała zdrowy i ładny wygląd. Lubiałam się jej przyglądać, w moich oczach była piękna i dobra.

Skończyła jedynie szkołę podstawową, ale była niezwykle odczytana i obdarzona wrodzoną inteligencją. Znała dobrze język niemiecki, co bardzo nam pomogło w czasie okupacji.

Ku mojemu zdumieniu interesowały ją wszystkie sprawy związane z kwestią żydowską, ich tradycje, obyczaje. Nie mogła zrozumieć okrucieństwa Niemców w stosunku do Żydów, którym pomagała, przynosząc do getta żywność, a dzięki swojej znajomości niemieckiego, bez trudności tam wchodziła. Później prócz mnie przechowywała na stryszku młodą Żydówkę, Zosię, którą uczyła mnie pisania, czytania i rachunków.

Myślała zawsze o innych, a nie o sobie, podziwiałam ją zawsze za jej dobroć i mądrość.

Miała bardzo ciężkie życie, bo macocha nie pozwoliła jej się uczyć, pomimo - prośb księdza, wysyłała ją sprzątać w obcych domach.

Siostra mamy zapoznała ją z ojcem i wtedy mama poznała Staszka, jego syna młodsze od niej o 4 lata i wzajemnie się w sobie zakochali. On miał wtedy 16 lat a mama 20. Był za młody i nie mógł jej zapewnić bytu. Zgodziła się wyjść za ojca, ale wyjaśniła mu, że kocha jego syna i chce być dobrą żoną i dlatego prosi go, żeby oddalił syna z domu.

Ojciec miał zupełnie odmienny charakter od mamy. Myślał przede wszystkim o sobie i o swoich sprawach, nie interesowało go nic, co go nie dotyczyło.

Z wyglądu był szczupły i wysoki, włosy ciemno blond z łysiną w centrum czoła. Zmarł w 1970 roku mając 76 lat i nie miał nawet jednego siwego włosa. Był

zawsze zadbany i elegancki, był krawcem. Zawsze po południu odpoczywał, nie interesowało go zupełnie co się dzieje dookoła niego. Był człowiekiem ze wsi, o prymitywnym sposobie myślenia, a często i zachowania. Jednakże jego dobra prezencja, zachowanie i sposób chodzenia sprawiały wrażenie, że to jakiś arystokrata. Do końca życia trzymał się doskonale, chodził z czarną laską ze srebrną rękojeścią w formie głowy lwa. Uważał widocznie, że to dodaje mu prestiżu, zawsze elegancki, bez śladu brzucha.

Mama opowiedziała mi, że dowiedziała się po ślubie, że był wielkim babiarzem i że lekarz mu powiedział, że nie wolno mu dopuścić, żeby jego pierwsza żona zaszła w ciążę po raz trzeci, bo ona tego nie przeżyje. Ojciec zlekceważył to, co mu lekarz powiedział. W wyniku tego, ona zaszła w ciążę i zmarła.

Książek nie czytał, tylko gazety i to najczęściej w czasie obiadu. Wsadzał wtedy głowę w gazetę, lekceważąc wszystkich dookoła.

Sposób w jaki jadał posiłki budził w nas wszystkich odrazę. Podane estetycznie danie rozdrabniał na kawałki i mieszał tak, że w wyniku jadł papkę, która wyglądała odrażająco.

Pamiętam, że zawsze marzyłam o zjedzeniu kurzego udka, bo ojciec jadł kurzą pierś, Staszek i Edek udka, ja skrzydełka a mama szyję i resztę.

Bardzo dbał o zdrowie, swoje oczywiście. W stosunku do innych ludzi był skryty i zimny, nic nie było w stanie wyprowadzić go z równowagi. Nawet jeśli był zdolny do jakichkolwiek uczuć, umiał je skrzętnie ukrywać. Być może nie miał co ukrywać?

Kiedy bił swoich dorosłych synów, kiedy byli pijani, zdejmował pas ze swoich spodni i bił ich bez jednego słowa, ze stoickim spokojem. Kilka razy pamiętam, była to wigilia, siedzieliśmy z mamą smutnie, albo płakaliśmy. Wszystko było gotowe do uroczystej wigilii, a chłopcy po 30-ce pijani - tak wyglądała wigilia. Pijany Staszek płakał, a Edek, tłukł wszystko dookoła i awanturował się. Oboje byli pijakami, ale Edek pił codziennie, a Staszek czasami.

Ja też kilka razy oberwałam od Ojca pasem i to nieźle bolało.

Nigdy nie słyszałam, żeby ojciec wypowiadał się na temat Żydów, widocznie ta kwestia go nie interesowała. Do kościoła zaczął chodzić po 70-ce, widocznie chciał zapewnić sobie dobre miejsce na tamtym świecie. W tym okresie zaczął od czasu do czasu wypijać po maleńkim kieliszeczku, widocznie dla kurażu, (całe życie był abstynentem).

Zastanawia mnie jedna rzecz: jak taki człowiek mógł zdobyć się na to, że pomimo zagrożenia pozwolił mi zostać w rodzinie. Może nie chciał przeciwstawić się reszcie rodziny, a może zdecydował moment, w którym Staszek posadził mnie na jego kolanach, a on zdał sobie sprawę z tego, jaka byłam bezbronna.

Mój brat Staszek w czasie wojny przebywał w domu. Z wyglądu był szczupłym szatynem z czołową łysiną. Był człowiekiem wrażliwym, delikatnym i dobrym, ale zamkniętym w sobie.

Właściwie był dla mnie bardziej ojcem, niż bratem, spędzał ze mną wiele czasu, dużo ze mną rozmawiał na różne tematy, pomagał mi czasem w nauce. Kiedy byłam małą dziewczynką ubierał, mył i przekomarzał się ze mną. Rozpieszczał mnie słodyczami. Często zabierał mnie na spacer, a w tym czasie sprawdzał moje wiadomości z różnych dziedzin, najczęściej geografii. W pewnym okresie dzieciństwa fascynowałam

się geografią, spędzając wiele godzin na studiowaniu mapy świata, po to, żeby popisać się przed Staszkiem nowymi wiadomościami. Wieczorami graliśmy w różne gry, szczególnie w damkę.

Po wojnie Staszek został oficerem w wojsku polskim. Były okresy, kiedy przebywał poza domem i rzadko przyjeżdżał, jedynie na święta.

Pewnego razu Staszek przyniósł do domu rannego psa, którego potrącił samochód. Poszłam z nim do weterynarza. Biedny pies miał ogon odarty ze skóry i weterynarz powiedział, że trzeba go obciąć, i operować łapkę. Powiedział również, że ktoś musi mu pomóc przytrzymać psa. Staszek o mało nie zemdlał, tak, że ja asystowałam przy operacji.

Mój drugi brat Edek był przeciwieństwem Staszka, zarówno pod względem charakteru jak i wyglądu zewnętrznego jedynie łysina była taka sama.

Edek często zaglądał do kieliszka, przez co sprawiał w domu wiele kłopotów. Po pijanemu stawał się agresywny i wywoływał awantury, rozbijając w domu, co mu się nawinęło pod rękę.

Bracia prawie ze sobą nie rozmawiali i nic ich nie łączyło.

Ja też nie miałam z nim prawie żadnego kontaktu i miałam wrażenie, że on mnie nienawidzi i jest o mnie zazdrosny.

Ożenił się w tajemnicy przed rodziną, tak, że nikt nie był na jego ślubie. Ślub był tylko cywilny, bo panna młoda była w ciąży.

Stanowili dość śmieszna parę, ona była od niego dużo wyższa i tęga. Mieli troje dzieci. Prawdopodobnie od nadużywania alkoholu przeszedł dwa zawały serca i zmarł w wieku 50 lat.

Wyczuwało się, że ojciec wyraźnie miał słabość do Edka, jakkolwiek jawnie tego nie okazywał. Synowie zaś wspólnie nienawidzili ojca, jednakże okazywali mu coś w rodzaju szacunku, może był to tylko lęk przed nim.

Życie w Nowej Rodzinie, Koniec Wojny.

Mieszkaliśmy na ulicy Wesołej, ale Zakład Krawiecki ojca był w 1-szej Alei pod numerem 12. W podwórku na Wesołej były małe drewniane pomieszczenia w których mama i inni sąsiedzi hodowali króliki.

Dom był dwu piętrowy ,w środku podwórka była studnia, które było też miejscem zabaw.

Jednym z naszych królików był angora - bielutki, z czerwonymi oczami. Był on moim ulubieńcem. Codziennie przynosiłam mu jedzenie i głaskałam go, był taki mięciutki.

Kiedyś byłam na wsi kilka dni i kiedy wróciłam, poszłam odwiedzić mojego króliczka. Nie znalazłam go i prędko pobiegłam do mamy zapytać co się z nim stało. Mama była trochę zakłopotana, bo wiedziała jak go lubiłam i zwlekała z odpowiedzią, ale ja настаwiałam, że chcę wiedzieć. Mama postanowiła mi powiedzieć prawdę, że królik był chory i musiała go zabić.

„Co z nim zrobiliście?” zapytałam.

„Zjedliśmy go" odpowiedziała mama.

„I nawet kawałka nie zostawiliście dla mnie”, prawie krzyczałam, myśląc o jego miękkim futerku a nie o mięsie. Cała rodzina była rozbawiona z tego powodu, śmiali się do rozpuku, a ja nie rozumiałam dlaczego.

Wyglądałam bardzo źle: chuda, blada i bardzo mała, na dodatek byłam bardzo trudnym dzieckiem, nie chciałam jeść i byłam uparta jak osioł. Biedna mama nie wiedziała co dla mnie przygotować, żebym tylko zgodziła się jeść.

Później, kiedy wojna się skończyła, było mamie trochę łatwiej z moim jedzeniem, bo kiedy pokazały się paczki UNRA i kawałek czekoladki leżał koło talerza, to żułam jedzenie tylko po to, żebym mogła zjeść ten kawałek czekolady. A te UNRowskie czekolady były takie smaczne, że do dziś pamiętam ich smak. Były też czekoladowe buteleczki z likierem w środku i inne.

Z powodu anemii na którą cierpiałam mama karmiła mnie szpinakiem, odmawiałam pomimo, że było tam więcej jajek niż szpinaku.

W czasie wojny było bardzo trudno z żywnością, dlatego chłopcy jeździli na wieś po prasówkę – były to liście tytoniowe z których skręcało się w bibułki papierosy. Był to bardzo poszukiwany towar i za to można było zdobyć inne produkty. Kiedy wyjeżdżali, w domu panowała atmosfera napięcia i troski, czy uda im się wrócić szczęśliwie.

Pociągi były pełne szmuglowników, którzy jeździli na wieś po produkty, których w mieście nie można było dostać. Żeby ich nie złapano na szmuglu, owijali się w kielbasy, mięsa i co tylko można było zawiązać pod odzieżą. Szmugiel był zabroniony i kary za to były surowe: Niemcy przede wszystkim konfiskowali to, co znaleźli, a ludzi albo zabierali do obozów, albo za duże łapówki zwalniali. Młodych mężczyzn wysyłano na roboty do Niemiec.

Było dużo piosenek na ten temat, pamiętam początek jednej z nich:

Na dworze jest mrok
W pociągu jest tłok
Zaczyna się więc sielanka
On objął ją w pól
Ona gruba jak wół
Za pasem jest rąbanka.....

Refren:

Teraz jest wojna, kto handluje ten żyje
Kto sprzeda rąbankę, słoninę, kaszankę
Ten bimbru się też napije

Biedna mama tak się starała, żebym tylko chciała jeść, szczególnie po tym jak lekarz powiedział jej, że jeśli dożyję 12 lat, to pozostanę przy życiu.

Mama postanowiła zrobić wszystko, żeby mnie ratować, bardzo smacznie gotowała, ale ja nie chciałam jeść ryżu bo twierdziłam, że to robaki, nie chciałam jeść kapuśniaku. Dla każdej potrawy wymyślałam inny powód, tylko żeby mi dano spokój z jedzeniem. Ale mama była uparta, zawsze mówiła:”Zjedz najpierw to, czego nie lubisz (tzn. jarzyny), potem ziemniaki a w końcu mięso”. Biedna mama, jak Ona się ze mną męczyła, ale nigdy się nie skarżyła...

Pewnego razu przypominam sobie, że weszłam do kuchni, a tam mama zarzyniała gęś którą hodowała i krew bryzgnęła na moją sukienkę. Dostałam ataku histerii, co nie przeszkodziło mi później jeść smażoną na patelni krew z tej gęsi, bo miałam silną anemię.

* * *

Przeprowadziliśmy się do 1-szej Alei, gdzie, był zakład krawiecki ojca. Było to duże mieszkanie z balkonem, a okna wychodziły na Aleję. Tam bardzo się bałam, bo do ojca przychodzili niemieccy oficerowie szyc mundury na miarę, a ja na widok munduru drżałam jak osika. Trzeba było być ciągle w pogotowiu - kiedy ktoś przyszedł, trzeba mnie było przetrzymywać w kuchni, żeby nie wzbudzać podejrzeń moim nienormalnym zachowaniem.

Po jakimś czasie Niemcy wysiedlili nas do małego mieszkania w pierwszym podwórku. W głównej bramie wejściowej, tam gdzie było nasze duże mieszkanie Niemcy zrobili z niego szpital. To było pod koniec wojny. Tam, w tym małym mieszkaniu, do którego nas przeniesiono, na stryszku mama przechowała Zosię (o której już pisałam). Pod jednym względem to mieszkanie było dobre : kiedy były łapanki, bracia przez okno uciekali w pole i wracali dopiero następnego dnia, kiedy się wszystko uspokoiło.

Te wszystkie przeżycia i trudne warunki życiowe, sprawiły, że byłam dzieckiem nieufnym, smutnym a pod względem zdrowia byłam wymizierowana, słaba i wątła, a mimo to nadal robiłam problemy z jedzeniem. Mama starała się jak tylko mogła, aby mnie prawidłowo odżywiać, co nie było proste w tych czasach. Świetnie gotowała, nie wiem skąd zdobyła tran, którego nie cierpiałam; żelazo w płynie jakoś przechodziło przez gardło. Nawet kozie mleko dla mnie zdobywała.

Kiedy patrzę na swoje zdjęcie z okresu wojny, to mnie litość bierze nad samą sobą, bo wyglądałam jak strach na wróble: chuda, poprostu szkielet, z dużym nosem i dużymi oczami. Byłam blondynką o szatynowym odcieniu i miałam dwa chude warkoczyki, jak mysie ogonki.

Pod koniec wojny wreszcie zaokrągliłam się trochę i zaczęłam wyglądać jak normalne dziecko, a to wszystko dzięki staraniom mamy. Zawsze byłam dla niej pełna podziwu. Kiedy się śmiała to jej oczy też się śmiały, ale gdy była smutna to oczy jej były tak pełne smutku, że mnie też chciało się płakać. Jej życie z ojcem było bardzo trudne. Chociaż Ona była bardzo mądra, on ją zawsze poniżał, nienawidziłam go za to, byłam zawsze po jej stronie.

* * *

O zbliżającej się ofensywie Armii Radzieckiej wiedzieliśmy z radia Londyńskiego, którego ojciec słuchał codziennie, chociaż to było zabronione.

Zakończenie wojny w Częstochowie było zupełnie niespodziewane.

W piękny słoneczny dzień około godziny 2-giej w południe ojciec wyszedł, żeby kupić nici po drugiej stronie ulicy. Naraz zobaczył czołgi radzieckie z obu stron kościoła Św. Zygmunta, wrócił natychmiast i kazał nam zejść do piwnicy. Przedtem dość często tam schodziliśmy, kiedy samoloty bombardowały. Ojciec uszył mi mały plecak do którego wkładaliśmy suchary.

Razem schodziła z nami też Zosia. W piwnicy wokół Zosi wszystkie dzieci sąsiadów rozsiadały się na węglu, a Ona opowiadała nam różne historie. Słuchaliśmy z otwartymi ustami zapominając o niebezpieczeństwie.

Kiedy Rosjanie wkroczyli, w naszej bramie stał czołg niemiecki i strzelał do nich, aż go spalili.

Mama nigdy nie chciała schodzić do piwnicy mówiąc, że jak ma umrzeć to woli w domu, a nie w piwnicy. Tego dnia, kiedy spalono czołg niemiecki w naszej bramie, mama zeszła i powiedziała:

„Chodźcie do domu, bo Niemcy uciekli”.

Wszyscy się ucieszyli, że już nie będzie trzeba się bać.

Mama poszła do naszego mieszkania z którego Niemcy zrobili szpital, żeby tam znaleźć wodę i sól, a wróciła z całym kartonem miodu w słoikach - a był to na tamte czasy prawdziwy rarytas. Częściowo zamieniła miód na inne produkty.

Następnego dnia była niedziela, wyszłam z ojcem. Wokół nas panowała nieprawdopodobna cisza, na ulicy leżało pełno trupów. Jak już powiedziałam, w naszej bramie stał spalony czołg niemiecki, naprzeciwko naszego domu inny czołg, wgnieciony w róg budynku.

Do naszego mieszkania na froncie, które Niemcy zamienili na szpital, weszli żołnierze radzieccy. Zachowali się niezwykle prymitywnie, porąbali drzwi i na środku mieszkania rozpalili ognisko.

W poniedziałek, kiedy wojna się skończyła (bo dla mnie się skończyła w momencie, w którym Rosjanie wypędzili Niemców z Częstochowy), przechodziłam z mamą koło kościoła Św. Stanisława. Były tam okopy i słyszałam stamtąd jęki niemieckich żołnierzy. Zajrzałam do tych okopów i patrzyłam na nich bez litości, bo wiedziałam jacy byli okrutni.

W domu też dużo się mówiło na temat Niemców. Pamiętałam ich buty z cholewkami, w których maszerowali po ulicach. Byłam mała, tak, że te buty

zapamiętałam dobrze, ponieważ były na wysokości moich oczu. Pamiętam „Halt” kiedy zatrzymywali ludzi - brzmiało to tak twardo i bezwzględnie. " How,How" - było to zapewne "Handy Hoch" czyli ręce do góry. To brzmiało jeszcze gorzej, dawało ludziom poczucie bezbronności, bo zawsze tym słowom towarzyszyła broń wymierzona do nich broń.

Jeden z żołnierzy rosyjskich wziął mnie na ręce do ciężarówki, która stała na podwórku, nasypał mi do spódniczki pełno cukierków i zniósł mnie z powrotem, a ja je rozdzielałam między dziećmi.

Po kilku dniach do naszego małego mieszkanka, dokwaterowano nam rosyjskiego oficera z adiutantem. Nazywał się Sołowiew był bardzo miły i kulturalny, umiał ładnie rysować i kilka razy narysował mnie, zawsze był tam jakiś piesek, chociaż go nie miałam. Umiał też ładnie śpiewać.

Pamiętam, że bardzo lubił piosenkę "Na pozycyju dziewczuszka prowałała bajka.....". Wszyscy bardzo go lubiliśmy, za to jego adiutant był okropny.

Pewnego dnia wyciągnął zza szafy portret Piłsudskiego, (którego ojciec bardzo cenił), ustawił nas wszystkich pod ścianą i chciał do nas strzelać. Na szczęście wrócił Sołowiew i nas uratował, a na niego tak nakrzyczał, że więcej się nas nie czepiał.

Po kilku lub kilkunastu dniach, kiedy ulice oczyszczono z trupów i czołgów, zaczęły przejeżdżać wozy pełne żołnierzy wracających z wojny, siedzących i leżących na konnych wozach. Ten żałosny pochód odbywał się w ciszy. Żołnierze wyglądali okropnie, brudni, zarośnięci i ogromnie zmęczeni.

Setki ludzi w ciszy przyglądało się temu pochodowi, tylko od czasu do czasu słyszało się okrzyki radości, kiedy ktoś nagle rozpoznał kogoś bliskiego.

Stałam na ulicy i byłam świadkiem tego, jak jakiś starszy Pan, który stał koło mnie, rozpoznał swojego syna. Było to takie wzruszające, gdy padli sobie w objęcia, że chciałam się podzielić tym z mamą, która patrzyła z balkonu i nie patrząc wybiegłam na ulicę. W Alei były dwie drogi, jedną jechali żołnierze na wozach, a drugą jechały nieliczne samochody, ale byłam tak wzruszona tym, co widziałam, że nie zwracałam uwagi na to co dzieje się dookoła i o mało nie wpadłam pod samochód.

* * *

W 1945 roku musiałam iść do szkoły, ale nie miałam świadectwa urodzenia.. Postanowiono mnie ochrzcić i zaprowadzono mnie do kościoła Św. Zygmunta. Datę mojego urodzenia ustanowiono na dzień 12 kwietnia 1938 roku.

Data dość mi się spodobała i - prawdę mówiąc myślałam, że jest prawdziwa, że może moja mama przez zakonnicę przekazała ją mojej nowej mamie. Tak żyłam w nieświadomości 69 lat.

W Akcie Urodzenia wpisano mi imiona Eugenia Anna. Byłam bardzo rozczarowana, bo chciałam się nazywać Hanka. Cóż miałam zrobić, nikt mnie nie pytał o zdanie.

W sierpniu 2007 roku, w czasie kiedy zaczęłam pisanie tej książki, za radą mojej przyjaciółki (która pracuje w Muzeum Holocaustu w Waszyngtonie) napisałam do Archiwum Urzędu Stanu Cywilnego w Częstochowie i podałam wszystkie moje dane, to znaczy imię ojca, matki, ich nazwiska i nazwisko panięńskie mamy i datę 12 kwietnia 1938 roku .

Dostałam odpowiedź, że Córka Gezela Rozena i Itty z domu Bergman, Sura urodziła się 8 sierpnia 1937 roku. Tak, że w jednym roku miałam podwójne urodziny: w kwietniu skończyłam 69 lat, a w sierpniu tego samego roku 70. Ciekawe, prawda?...

Zapytacie na pewno, dlaczego wcześniej tego nie zrobiłam. Odpowiedź jest prosta: do 1970 roku wogóle nie wiedziałam, kim jestem, a dowiedziałam się przez przypadek.

Ale o tym napiszę później.

Przeprowadzka i Szkoła

W 1945 roku przeprowadziliśmy się do Katowic. Staszek, będąc oficerem w wojsku polskim dostał przydział na mieszkanie ponemieckie w Centrum Katowic, na ulicy Mickiewicza 18.

Przeprowadzka do innego miasta po wojnie to była długa historia: jechaliśmy pociągiem w wagonie bydlęcym chyba dwa tygodnie, bo wagony podłączano i rozłączano, zostawiano nas w polu na dzień, dwa i znów podłączano a po kilku kilometrach rozłączano. Na szczęście w wagonie koło nas jechała rodzina z kozą tak, że dostawałam codziennie kozie mleko.

Innym razem podłączono wagon, gdzie jechała rodzina z krową, więc znów dostawałam codziennie świeże mleko. Wagony jechały w różnych kierunkach, tak, że sąsiedzi wagonowi się zmieniali.

W czasie gdy odczepiano wagon to krowa pasła się na łące. Cały nasz wagon był zastawiony meblami, w środku było łóżko, na którym spałam z mamą. Ojciec z nami nie jechał bo dla niego to była niewygodna podróż. Kiedy była ładna pogoda, spacerowałyśmy po polach niedaleko, żeby zdążyć, gdy zechcą nas podłączyć do pociągu. Ćwierć wagonu zajmował ogromny fikus, który również jechał z nami.

Z Częstochowy do Katowic pociągiem można było dojechać w przeciągu dwóch godzin.

Od razu po naszym przyjeździe, ojciec wywiesił zielony szyld ze złotymi literami, który mi się bardzo podobał.

Katowice, miasto czarnych domów, z powodu przemysłu węglowego, miasto smutne i przygnębiające, ale jednak ludzie tutaj żyją, a mnie nikt nie pytał o zdanie.

Nowe mieszkanie bardzo się nam wszystkim podobało: 5 pokoi, 2 korytarze, łazienka a za nią pokój dla służącej, której nie mieliśmy, ubikacja i spiżarka. Były tam dwa frontowe pokoje i przejściowy salon z pięknymi rzeźbionymi drzwiami, piękne kaflowe piece na węgiel, a między ścianami i sufitem - sztukaterie z główkami. Mieszkanie było bardzo wysokie tak, że to robiło wrażenie. Fikus postawiono w poczekalni, tam wyglądał imponująco. W poczekalni był balkon wychodzący na główną ulicę, drugi balkon był między kuchnią a pokojem dla służby.

Drzwi między frontowymi pokojami były składane, częściowo oszklone, z pięknymi z rzeźbami w kształcie kwiatów.

Najbardziej mnie zaciękały przybite na każdych drzwiach, zamalowane na biało podłużne blaszki, tak jak drzwi. Pytałam mamę, co to jest, (ona jak zawsze wszystko wiedziała) wyjaśniła mi, że to są mezusy, które Żydzi przybijają na drzwiach dla ochrony przed wszelkim złem.

Nie mogłam zrozumieć, bo w tym mieszkaniu przed nami, mieszkał Niemiec, August Burek, jego imię i nazwisko było zapisane na wszystkich książkach, które pozostały po nim, widocznie w czasie ucieczki. Był on dyrektorem szkoły, do której ja miałam chodzić.

Podwórko nasze przylegało do szkolnego podwórka. Była między innymi niemiecka encyklopedia. Prócz tego były inne ciekawe książki, szczególnie jedna

medyczna, gdzie były obrazki kobiety w ciąży i były też warstwy które można było zdejmować i widzieć niemowlę w brzuchu. To było fascynujące. Była tam polska książka "Czarna Magia". Czytałam ją w ukryciu, czasami pod łóżkiem, bo bałam się, że mama ją zabierze, jako nieodpowiednią dla mojego wieku lekturę.

Z mebli podobał mi się ciężki dwuczęściowy dębowy kredens. Zewnętrznie nie był taki ciekawy ale wewnątrz był imponujący. W środku wyłożony był jasnym fornirem, w każdej części były drzwiczki, otwierane z góry do dołu. Jedna była wyłożona lustrami i było pomieszczenie na lody z uchwytyami na kieliszki.

W drugiej był sekretarzyk z mnóstwem małych szufladek. Kredens w górnej części był oszklony i tam był wystawiony serwis, który mama kupiła okazji i który składał się ze 100 sztuk; były tam talerze do obiadu, serwis do kawy i wszystko co się z tym wiąże. Mama lubiła ładną porcelanę tak, że były tam spodeczki z filiżankami różnych znanych firm. Ja pamiętam tylko Rosentala.

Na ścianach wisiały reprodukcje: autoportret Dürera o którym na początku myślałam, że to portret Jezusa, "Primavera" Boticcellego i trzeci - "Włochy i Niemcy" Oberboka. Bardzo je lubiłam, były w nich spokój i piękno.

Na bibliotece stał niemiecki globus.

W kuchni stał duży, dębowy kredens, którego nie przesuwano, bo był bardzo ciężki.

Kiedyś przyniosłam do domu jeża, a on wsunął się pod kredens i nie mógł się wydostać - to był jedyny raz, kiedy trzeba było przesunąć kredens, żeby go wyzwolić.

Na przeciwko stał piec węglowy z kociołkiem do grzania wody - tego pieca używaliśmy rzadko, zwykle przed świętami, kiedy trzeba było przygotować dużo potraw. Był też piec gazowy, zlew i kufer taki, jakich panny używały do posagu, ale my trzymaliśmy tam brudną bieliznę.

Na kuchennym balkonie były dwie skrzynki: jedna na węgiel, druga na ziemniaki. Przed świętami mama trzymała tam też gęś, którą karmiła jakimś kluskami, które specjalnie dla niej przygotowywała. W tym okresie obaj bracia tarli chrzan na balkonie w maskach gazowych ocalałych po wojnie, co bardzo śmiesznie wyglądało.

Z kuchennego balkonu był widok na 5 podwórek.

Lubiłam tam siadać i obserwować życie mieszkańców.

W jednym z tych podwórek mieszkał dyrygent chóru, w którym byłam solistką. Kiedy przy zmywaniu garnków śpiewałam - On machał do mnie ręką.

Mieszkaliśmy na trzecim piętrze, a na drugim mieszkała para aktorów. W czasie gdy się kłócili - można było widzieć talerze wylatujące przez okno na podwórko.

Od tej strony na parterze mieszkała Pani Zofia, która miała salon kapeluszy. Był on wielkości pokoju dla służącej w naszym mieszkaniu. ale Pani Zofia zrobiła coś w rodzaju pawlacza i tam było jej łóżko. Wchodziła tam po drabinie a, że lubiła sobie popić, to często z niej spadała i chodziła ciągle posiniaczona. Podobno przeżyła powstanie warszawskie i od tego czasu zaglądała do kieliszka.

W naszym salonie stało pianino, na którym przez jakiś czas uczyłam się grać. Pewnego razu wyjechaliśmy na wakacje i nasz sąsiad, który pracował w Konserwatorium, był chyba zazdrosny, że mieliśmy pianino i postarał się, żeby nam je zabrano, bo było polskie. Szczerze mówiąc nie bardzo tego żałowałam, bo moja nauczycielka pianina była bardzo wymagająca i biła mnie po rękach gdy nie zagrałam czegoś tak jak trzeba.

Na początku, gdy się tam wprowadziliśmy, jeden frontowy pokój służył jako zakład krawiecki a drugi, jako poczekalnia. Pokój przejściowy był jadalnią a dwa pokoje z widokiem na podwórko, były jako sypialnie.

Samo mieszkanie dla mnie było bardzo tajemnicze, próbowałam odkryć wszystkie te tajemnice: mezuzy, August Burek, książki, meble, zakamarki, wszystko to rozbudziło moją wyobraźnię, która pracowała bez przerwy przez długi czas.

Piwnica w naszym budynku to był istny labirynt, gdzie każdy z lokatorów miał swoją komórkę na węgiel i na ziemniaki. Dla mnie schodzenie do piwnicy bywało ogromnym przeżyciem. Czasami w drodze do naszej komórki gasło światło, a gdy zapomniałam zabrać świeczkę - to była tragedia. Czasami piwnica była otwarta i nie było światła. Pewnego razu leżał tam jakiś pijak – niechcący nastąpiłam na niego i myślałam, że umrę ze strachu.

Podobnie było na schodach, czasami nie było światła i trzeba było iść po ciemku. Pijaków w naszym domu było kilku: sąsiad adwokat, nauczyciel, który z wódki przerzucił się na denaturat, moich dwóch braciszków i jeszcze jeden sąsiad który raz założył się, że wypije całą butelkę wódki, wrócił do domu, położył się do łóżka i zmarł. Tak, idąc po schodach po ciemku na trzecie piętro, nie raz natknęłam się na leżącego pijanego. Zawsze zamierałam ze strachu, bo nie wiedziałam, kto tam leży na schodach.

W piwnicy trzymaliśmy różne zapasy na zimę: kiszoną kapustę, którą z ojcem deptałam, oczywiście po solidnym myciu nóg. Mama robiła konfitury, zaprawiała kompoty w słoikach a w dużym słoju fermentowało wino.

W naszym domu były 4 piętra i strych. Na strychu była pralnia i suszarnia wypranej bielizny, oczywiście na rozwieszonych sznurkach. Trzeba było zawsze zamówić kolejkę na pranie. Był tam piec i duży kocioł w którym gotowało się bieliznę, była wanna, gdzie się płukało kilkakrotnie i krochmaliło bieliznę. To był cały dzień ciężkiej pracy - trzeba było wszystko namydlić i na pralce(takiej pofalowanej blasze) szorować mydłem, potem gotować, płukać, krochmalić, suszyć a potem wieszać. A gdy pranie wyschło trzeba było je naciągać i uważnie składać a potem zanieść do magła. Teraz po prostu wkładamy pranie do pralki i wszystko samo się pierze.

Blisko domu, była hala targowa, gdzie mama miała stragan z dodatkami krawieckimi: materiały, podszewki, płótno do usztywniania i.t.p. Czasami młodszy brat pomagał mamie, ale niewiele było z niego pożytku bo kradł pieniądze na wódkę.

Sytuacja materialna naszej rodziny jak na owe czasy była dobra. Stać nas było na względnie dostatnie życie i można było trochę nawet zaoszczędzić. Moi bracia na spółkę kupili sobie motocykl, ale jeździli po wariacku tak, że się bałam z nimi jeździć.

Ciągle zdarzały się im wypadki, ale o dziwo wychodzili z nich zawsze bez szwanku.

Nigdy nie miałam dostatecznej odwagi by powiedzieć, gdy czegoś potrzebowałam. Pewnego dnia rozleciały mi się buty, bo jak się okazało te, które mi kupiono miały zelówki z kartonu. Nie mogłam iść do szkoły tak, że mama poszła i kupiła mi nową parę.

Ojciec uszył mi z resztki jakiegoś materiału sukienkę na zimę, ale nie cierpiałam jej, bo materiał był szorstki i mnie drapał. Codziennie pytałam mamę, co mam ubrać do szkoły w nadziei, że zrozumie, że mi niewygodnie w tej sukience ale mama się śmiała i mówiła : "Włóż tę aksamitną sukienkę". Nie miałam żadnej aksamitnej sukienki.

Uważałam, że nie mam prawa o nic prosić, bo i tak dużo dla mnie zrobili, a przecież nie jestem ich dzieckiem. Chyba dlatego bardzo wcześnie nauczyłam się szyć i od 17 roku życia szyłam sobie wszystko sama.

* * *

Zanim poszłam do szkoły musiałam przejść wstępny egzamin, gdzie stwierdzono, że nie będę miała co robić w pierwszej klasie, bo umiałam już czytać i pisać i umiałam liczyć. Właściwie w drugiej klasie też nie miałbym co robić, ale do trzeciej klasy nie można mnie skończeniem 17 lat.

I tak zaczęłam swoją edukację w drugiej klasie. Byłam najmniejsza wzrostem w całej szkole i zaprzyjaźniłam się z Janką Bernatek, pamiętam nawet jej nazwisko. Ona była niewiele wyższa odemnie. Była wygimnastykowana, jak sprężyna, przełaziła przez płoty jak kotka, wspinała się na drzewa, a ja za nią, tylko, że ja byłam słabiutka i padałam jak dojrzała śliwka. Ja byłam bardziej elastyczna od niej, robiłam mostki i szpagaty i to mnie pocieszało, że ja też w czymś jestem dobra. Nie pamiętam od której klasy zaczęła mnie zabierać na gimnastykę na przyrządach, ona radziła sobie z tym doskonale, a ja chodziłam cała w sińcach i z potłuczonymi kolanami i łokciami.

Byli tam też chłopcy, bo pamiętam, że śmiali się ze mnie i krzyczeli : "Do baletu z nią ", a ja zaciskałam zęby i wchodziłam znów na przyrządy.

Jako dziecko byłam cicha i nieśmiała, mówiłam mało i żyłam w świecie fantazji i było mi z tym dobrze.

Miałam chyba 8 lat jak mama wróciła pewnego dnia z targu zadowolona z targu, bo kupiła mi lalkę, moją pierwszą i jedyną lalkę. Byłam bardzo szczęśliwa, bawiłam się nią dużo i rozmawiałam z nią, a ona tylko słuchała, ale mnie to zupełnie nie przeszkadzało.

Później, w którejś klasie zaczęliśmy uczyć się niemieckiego, co dla mnie było bardzo trudne - słyszenie znów tego zniechęcającego języka. Na moje szczęście nasza nauczycielka miała 84 lata i nas dwie ciągle myliła. Siedziałyśmy obie razem w pierwszym rzędzie. Janka znała doskonale niemiecki, bo była autochtonką. Gdy mnie wołała nauczycielka, to Janka odpowiadała za mnie. Gorzej było, jeśli na tej samej lekcji zawołała ją do tablicy, wtedy Janka nie mogła drugi raz wystąpić, tak, że zdobywałam dla niej dwóję i ona przy okazji ją sobie poprawiała.

Janka lubiła trochę narozrabiać a gdy ją nauczycielka pytała, to mówiła jej moje nazwisko. Kiedyś wpadł w moje ręce dziennik szkolny z czasu, kiedy byłam w sanatorium. Dziennik był pełen uwag, że przeszkadzam w klasie, rzucam różnymi przedmiotami i w ogóle jestem niemożliwa.

Czasy szkoły powszechnej nie były dobre. Po pierwsze cierpiałam na niekończące się bóle głowy, a na dodatek codziennie wracałam ze szkoły i mama rozkładała na stole biały papier i wyczesywała na niego wszy. Tak, że ból głowy po tej operacji był nie do zniesienia. W tych powojennych czasach wszy królowały w szkołach, po wszach była kolejka na gnidy. Bardzo cierpiałam z tego powodu.

Pewnego razu przed Dniem Matki postanowiłam sama zarobić pieniądze i kupić mamie kwiatki..Nie chciałam o nie prosić ojca. Przygotowałam butelki z kawą i poszłam sprzedawać właścicielom straganów na targu. Zarobiłam kilka groszy i kupiłam kwiatki, bo następnego dnia w szkole mieliśmy je wręczyć mamom.

Miałam dość pieniędzy tylko na bukiet łubinu. Postawiłam go w wodzie w ukrytym miejscu i następnego dnia wzięłam swój bukiet do szkoły. Z mojego łubinu pozostały gołe łodygi i mama się obraziła, że narobiłam jej wstydu, a ja tak się starałam... Szkoda, że nie doceniła moich intencji, cały mój trud poszedł na marne.

Oprócz plagi wszy zdarzało się, że wracałam ze szkoły ze świerzbem. Nie było wtedy jeszcze dobrych sposobów na jego leczenie. Jakiś lekarz przepisał mi płyn na świerzb i mama po kąpieli mnie nim posmarowała. Myślałam, że się palę żywcem, zaczęłam krzyczeć i biedna mama znów wsadziła mnie do wanny, żeby zmyć ten płyn. Dopiero kiedy pojawiła się szara maść - przyniosła mi ulgę.

Na dodatek w każdym miesiącu byłam przynajmniej dwa tygodnie chora na anginę, zapalenie gardła i nie pamiętam co jeszcze. Szłam do łóżka zdrowa, a w środku nocy mama się budziła (bo spałam z mamą), bo miałam wysoką gorączkę.

Nauczyciele mówili, że jestem bardzo zdolna, ale muszę się więcej przykładać do nauki. Przez cały okres szkoły powszechnej ciągnęły się te moje choroby.

Podczas badań lekarskich w szkole kazano nam ustawić się w rzedzie od najwyższej do najniższej, my z Janką oczywiście byłyśmy ostatnie w kolejce. Niektóre dziewczynki były już bardzo rozwinięte miały duże piersi, ja zaś stałam tyłem do wszystkich, bo się wstydziłam, że jestem taka nieudana. Gdy przyszła moja kolejka, lekarz mnie zbadał i powiedział na głos: patrzcie jakie ona ma proste plecy. Czułam, że chyba urosłam o 10 centymetrów z dumy, że ja też coś mam i starałam się zawsze stać prosto, żeby widzieli moje proste plecy.

W wieku 10 lub 12 lat postanowiono mnie posłać do Komunii, jako dobrą katoliczkę. Uszyto mi ładną sukienkę z żorżety z różyczkami. Jedyne z zakręceniem loków z moich prostych włosów były problemy, bo po 5 minutach włosy były proste jak druty. Po kilku próbach widząc, że nic nie pomoże zrezygnowaliśmy z dalszych prób, żeby nie spóźnić się na uroczystość.

Loki do zdjęcia, zrobiliśmy u fotografa.

Odkąd siebie pamiętam chciałam tylko czytać książki. Być może dlatego lubiłam święta, w które one były dla mnie najmiłszymi prezentami. Zaszywałam się po kątach tak, że mama czasem mówiła, że nie czuje się w domu, że jest dziecko bo było bardzo cicho. Nie pamiętam siebie śmiejącej się na głos, może wydobyłam z siebie uśmiech, ale nic więcej.

Wracając do świąt mama starała się zawsze o świąteczną atmosferę, przygotowywała przysmaki, które odpowiadały świętom, na przykład na Boże Narodzenie była gęś, ryba po żydowsku, karpie smażone w wigilię. Najpierw kilka dni przed świętami karpie pływały w wannie, potem mama je ogłuszała młotkiem - co dla mnie było okropne - zawsze uciekałam z kuchni, gdy to robiła, potem kroїła je na kawałki. Piszac to, czuję smak smażonego karpia, w ogóle cokolwiek gotowała, było bardzo smaczne.

Do kuchni w okresie przedświątecznym, wchodziłam ukradkiem, żeby czegoś niechcący nie potrącić, zdarzało się mamie, że się rozłościła wtedy obrywałam czym popadło, to znaczy tym, co miała w ręku w danej chwili,: ścierką, wałkiem, warzechą. Nie miałam do niej o to żalu, bo to nie bardzo bolało i wypływało z jej spontaniczności. Była okrągła i gdy coś robiła, poruszała się szybko, a ja odbijałam się od niej jak od piłki

i łądowałam na meblach, dlatego, gdy była w kuchni, starałam się tam nie wchodzić , w wypadku gdy chciała, żebym jej w czymś pomogła.

Były też ciasta, ślinka mi idzie do ust, gdy to piszę. A na Wielkanoc był ją czerwony barszczyk z uszkami nadziewanymi grzybami. Babka wielkanocna to było coś tak smacznego, że trudno opisać. Stół wielkanocny wyglądał jak w żurnalach: biały haftowany i wykrochmalony obrus, w hafcie były wsunięte zielone gałazki borowiny, nasz piękny serwis rozłożony na stole, baze w wazonie, wszystkie przysmaki postawione i udekorowane, wino, kieliszki, prawdziwe święto. Ja malowałam jajka i bardzo to lubiałam.

Najwspanialszymi świętami, były jednak dla mnie święta Bożego Narodzenia. Piękna świerkowa choinka, pachnąca lasem salonie koło okna wychodzącego na balkon kuchenny. Choinka, którą tak lubiałam ozdabiać kolorowymi bańkami, które były strzeżone w kartonach do następnego roku, Łańcuszki z kolorowego papieru robiłam co roku na nowo.

Sama atmosfera świąteczna, mieszkanie wysprzątane, wszystko pachnące czystością no i zapachy smakolików które przygotowywała mama nie szczędząc wysiłków. Były tam ryby, indyk lub kaczka, czasem gęś specjalnie przez mamę karmiona dużo wcześniej a zabijana dzień przed wigilią, piernik przygotowany kilka tygodni wcześniej. Prezenty pod choinką opakowane świątecznie dla każdego z domowników. Wtedy wobrażałam sobie, że jestem jak Alicja w krainie czarów. Czasami duże płatki śniegu można było obserwować przez okno a czasami mróz dekorował szyby okien w przepiękne wzory.

Lubiłam bardzo spacerować, gdy padał śnieg i było mało ludzi na ulicy, bo wtedy na nieskazitelnie białym śniegu moje ślady były jedyne - to było piękne i napełniało moje serce radością.

Moja rodzina tak zwykle rozdzielona w normalnych dniach, w okresie świąt stawiała się na krótko normalną rodziną, wszyscy składali sobie życzenia , dzielili się opłatkiem, rozpakowywaliśmy prezenty, czekałam tylko na książki które dostanę, bo wszyscy wiedzieli, że nie ma dla mnie lepszego prezentu. Muszę przyznać że, mama starannie je dla mnie dobierała. Po rozpakowaniu prezentów śpiewaliśmy wszyscy kolędy które bardzo lubiałam.

Ale nie wszystkie święta były takie dobre i piękne.

Czasami jak w wigilię moi braciszkwowie się spili - to był koniec święta, nawet piękna duża udekorowana choinka i prezenty pod choinką traciły swój czar. Wtedy siedziałyśmy z mamą i płakałyśmy. Cała ciężka praca mamy poszła na marne. Jak ja nienawidziłam wódki.

Mama nie była osobą religijną. Do kościoła chodziła może raz w roku, w ciągu dnia, gdy kościół był pusty, chciała być sam na sam ze swoim Bogiem. Pamiętam, że kiedyś powiedziała mi zdanie które zrobiło na mnie duże wrażenie i dlatego je zapamiętałam : "Jak dorośniesz i dojrzejesz ,to dojdiesz do wniosku, że Boga nie ma, bo gdyby istniał nie pozwoliłby Niemcom wymordować w tak okrutny sposób tylu niewinnych ludzi"...

Dziwiło mnie, że moja mama tak bardzo interesowała się książkami o tematyce żydowskiej i pisarzami żydowskimi jak Szalom Alejchem, Baszewicz Singer,

Feuchtwanger, Stefan Zweig i inni. Ciągle próbowała i mnie nimi zainteresować, ale ja nie chciałam mieć z tym nic wspólnego. Mama nie dawała za wygraną i często w rozmowach ze mną, podkreślała moje żydowskie pochodzenie, mówiąc, że powinnam interesować się tradycjami i obyczajami moich przodków.

Kiedys, kiedy byłam już dorosła zapytała mnie : "Powiedz prawdę, czy Twoja krew nie ciągnie Cię do Izraela?" Oburzyłam się na nią i powiedziałam: "Czego Mama chce ode mnie, przecież mnie Mama nie wychowała na Żydówkę".

Myślę, że czasami miotała się wewnątrz, czy słusznie postąpiła wychowując mnie w duchu katolickim. Mówiła mi nieraz" : Wychowałam Cię według mojej wiary, bo chciałam żebyś miała jakieś podstawy etyczne i moralne, nie ukrywając Twojego pochodzenia. Jednak miałam nadzieję, że kiedy dorośniesz, odnajdziesz swoje korzenie. Moim zdaniem Twoim obowiązkiem jest pozostać w wierze Twoich przodków, chociażby po to, żeby udowodnić, że Hitlerowi nie udało się całkowita zagłada narodu żydowskiego."

Taka była moja mama.

* * *

W szkole średniej trochę mniej chorowałam.

Miałam doskonałą pamięć, uczyłam się wierszy bardzo szybko, czasami wystarczyło mi przeczytać wiersz dwa, trzy razy i już mogłam go recytować.

Zdarzyło się w czasie lekcji polskiego, że nikt nie nauczył się na pamięć sonetu Mickiewicza i zanim nauczycielka doszła do mnie, (bo wywołała według alfabetu), zdążyłam przeczytać ten sonet trzy razy i wyrecytowałam go bez błędu, wtedy nasza nauczycielka powiedziała - że ja uratowałam honor klasy i dlatego nie da tym którzy się nie przygotowali dwójek.

Brałam udział w wielu konkursach recytatorskich i zawsze dostawałam nagrody. Kiedys recytowałam przed całą szkołą wiersz na Dzień Matki i w czasie recytacji zaczęłam płakać, ale nie przestałam recytować i w sali rozlegały się też pochlipywania. Zeszłam ze sceny mokra od łez, ale dostałam duże brawa i rozpłakałam się na dobre, tak, że trudno było mnie uspokoić. Od tego czasu nie pozwolono mi deklamować na Dzień Matki.

Mój starszy brat Staszek często chodził z kolegami do knajpy, oczywiście żeby pić wódkę, a gdy długo nie wracał, mama posyłała mnie, żebym go przyprowadziła do domu, zanim spije się do nieprzytomności. Szukałam go więc po tych strasznych dla mnie knajpach.

Gdy go znajdowałam (byłam jeszcze wtedy dzieckiem), on ze wstydu najczęściej wracał ze mną. Nienawidziłam tego szukania po knajpach, pamiętam tam ten wstrętny kwaśny odór, a widok pijanych tracących równowagę lub leżących na podłodze, był dla mnie nie do zniesienia. Jako dziecko przyrzekłam sobie, że jak dorosnę nigdy nie będę pić wódki.

Najczęściej jednak pozwalałam się unieść fantazji i wyobrażałam sobie, że oto nagle spotykam swoją prawdziwą rodzinę, wyobrażałam sobie wszystkie szczegóły spotkania. Czasami ogarniał mnie lęk czy ta moja rodzina spełni moje oczekiwania.

Z drugiej strony wiedziałam, że nie mam wielkich szans na jej znalezienie bo nie pamiętałam nawet swojego nazwiska i imienia.

W szkole zdobywaliśmy odznaki na sprawność fizyczną; pływanie ,biegi w których byłam zawsze ostatnia i skoki, w których też z trudnością zdobywałam minimum, jakiego od nas wymagano.

W szkole był też chór, w którym byłam solistką. Bardzo lubiłam śpiewać przy każdej okazji, nawet podczas znienawidzonego mycia naczyń. Kiedy wracałam po dłuższej nieobecności do domu, mama powiedziała mi kiedyś: „Nie wiem czy bardziej brakowało mi Ciebie, czy Twojego śpiewu”.

Chyba w czwartej lub piątej klasie szkoły podstawowej, byłam na jakimś obozie który był położony w malowniczym zakątku, w jakimś zamku. Miejsce było zupełnie nieprzystosowane do tego celu. Naszą nauczycielką była moja sąsiadka, żona adwokata, który lubił pić.

W ogromnej Sali zamkowej rozłożono na podłodze materace, w niewielkich odstępach.. Mój materac był pod oknem. W pierwszą noc naszego pobytu rozpętała się straszna burza z piorunami, a przy błysku piorunów ta ogromna sala i sceneria zamku były przerażające.

Zdawało się nawet, że po zamku snują się jakieś zjawy, czy upiory.

Ranek po burzy był pogodny a zjawy okazały się zwykłymi złodziejaskami, którzy pod osłoną nocy i burzy wtargnęli do gospodarstwa na zamku i ukradli właścicielowi dwie świnie.

Pomimo, że nocny koszmar się wyjaśnił, czułam się bardzo źle i powiedziałam o tym nauczycielce, a ona podniosła moją koszulkę i przeraziła się, ponieważ zrozumiała, że mam wietrzną ospę. Po obejrzeniu wszystkich dzieci, okazało się, że troje zachorowało.

Natychmiast odseperowano nas od reszty dzieci w małym pokoiku stróża na dwóch naprędce zorganizowanych materacach. Na jednym spałam ja z 7-mio letnią dziewczynką, a na drugim leżał jakiś mały chłopczyk.

Byłam najstarsza z tej trójki, dlatego najciężej to przechodziłam. Całe ciało było pełne wyprysków, a najgorsze było swędzenie.

Zawiadomiono mamę, że jestem chora i mama natychmiast przyjechała po mnie i zabrała mnie do domu. Nnie mogłam jeździć ani pociągiem, ani autobusem, ani bardziej nie taksówką, bo we wszystkich środkach lokomocji wymiotowałam, ten raz nie różnił się od innych .Wyhaftowałam taksówkę jak się należy i mama musiała zapłacić taksówkarzowi odszkodowanie.

W domu w czystej ,wykrochmalonej pościeli, natychmiast poczułam się lepiej, bo i mama starała się umilić mi leżenie w łóżku smakołykami.

W ósmej klasie pojechałam do sanatorium, bo miałam problemy ze stawami i tam też się rozchorowałam. Wtedy zaczęto używać penicylinę krystaliczną w zastrzykach. Było to bardzo bolesne, ale cóż miałam robić. Po zastrzyku w pupę, całą noc leżałam na brzuchu, bo tak bolało. Byłam w sanatorium 3 miesiące. Było to gdzieś w Sudetach. Po powrocie do domu, wyglądałam jak strach na wróble, chuda, wyrosłam o jakieś 20 centymetrów, włosy długie, wszystko, co miałam było na mnie za krótkie. Sukienki ledwo zakrywały majtki. Staszek wyszedł po mnie na dworzec, ale minęliśmy się po drodze.

W domu znów mama się mną zajęła, żeby mnie doprowadzić do normalnego stanu.

Do tego czasu moje majtki były przyczepione na guziki, do płaskiego staniczka. Ponieważ moje piersi się zaokrągliły, nie było mi wygodnie i postanowiłam poprawić ten stanik, żeby nie uciskał na piersi, co mi się nie udało. Jaśka widząc moje próby, powiedziała mamie, żeby kupiła mi stanik i majtki na gumce. Byłam bardzo zadowolona, bo nie cierpiałam tych majtek na guzikach, bo nie raz się zdarzały wypadki, że nie zdążyłam ich otworzyć na czas.

Szkoła i Menażeria

Czułam się katoliczką, chyba dlatego, że lubiłam święta katolickie. Był też w moim życiu okres, kiedy potrafiłam się modlić do Boga z całej duszy, najczęściej kiedy prosiłam o pomoc dla innych. Przyznam jednak, że kiedy Bóg mnie nie wysłuchał, byłam bardzo rozczarowana, bo przecież nie prosiłam dla siebie.

Przeszkadzał mi fakt, że ciągle powtarzałam na spowiedzi te same grzechy i mówiłam, że już ich nie będę robić i w tymże momencie wiedziałam, że następnym razem będzie to samo.

Moje grzechy były zawsze dwa, choć miałam wtedy 18 lat. Pierwszy, że nie modliłam się rano i wieczorem a drugi, że nie byłam w niedzielę w kościele. Ponieważ byłam zawsze bardzo konsekwentna, ten fakt mi przeszkadzał. Postanowiłam pójść do księdza i z nim porozmawiać, tym bardziej, że miałam też wątpliwości, czy naprawdę wierzę w Boga.

Ksiądz był bardzo miły, na pewno rozbawiła go moja naiwność i odpowiedział mi na moje wątpliwości : "Moje dziecko, jak byłem młody, też miałem wątpliwości, nie zmuszaj się do praktyk religijnych, wiara przyjdzie sama". No cóż, muszę przyznać po wielu latach, że niestety, nie przysła...

Wróciłam do domu i jako osoba konsekwentna, zaczęłam analizować, do czego jest ludziom potrzebna wiara. Doszłam do wniosku, że wiara daje człowiekowi zasady moralne i etyczne w postępowaniu z otaczającym go światem.

Ponieważ ja nie wierzę, muszę jednak wyznaczyć sobie jakieś reguły postępowania, aby były zgodne z tym, czego uczy wiara.

„Ale jak?” - myślałam , „jak to zrobić?”. Będzie mi trudno zapamiętać wszystkie reguły tak, że będę musiała je skrócić do minimum.

Po dłuższym namyśle postanowiłam, że będę postępowała tak, żebym mogła zawsze spojrzeć na siebie w lustrze i nie wstydzić się na swój widok. Po drugie nie czynić drugim zła i w miarę swoich możliwości pomagać tym, którzy tego potrzebują.

Te zasady prowadziły mnie przez całe moje życie, jestem nawet dumna z siebie, że trzymałam się tych zasad . Dały mi one dużo radości i zadowolenia.

Jako dziecko, rzadko mnie karcono, ale zapamiętałam, że raz ojciec zbił mnie pasem, nawet wiem, dlaczego.

Pewnego razu mama posłała mnie do sklepu i dała mi banknot, na który nie zwróciłam uwagi, tak, że kiedy sprzedawczyni zwróciła mi resztę z tysiąca, zwróciłam jej uwagę, że dałam jej 100 złotych a nie tysiąc. Ona uważała, że nie mam racji, ludzie w sklepie też potwierdzili, że dałam banknot 1000 złotych.

Kiedy wróciłam do domu, dałam mamie resztę ze 100 złotych, a 900 ukryłam za piecem kaflowym.

Po pewnym czasie mama robiła rachunki, które się jej nie zgadzały o 1000 złotych, ja miałam 900 złotych a nie 1000. Kiedy jednak nie znalazła tego tysiąca, przyznałam się, że ja byłam pewna, że dała mi 100 złotych i opowiedziałam jej całą historię, która widocznie nie brzmiała wiarygodnie i dlatego oberwałam od ojca, na którego byłam obrażona, bo nie czułam się winna.

Bardzo miłe wspomnienia zachowałam z wakacji, na które wyjeżdżaliśmy co roku, w góry, lub nad morze.

Pamiętam wakacje w Międzyzdrojach w lipcu, krótko po skończeniu wojny, bo byłam jeszcze mała. Była tam aleja z dużymi drzewami lipowymi i zapach lipy był odurzający.

Przed stacją kolejową stała na 4 nogach skrzynia, a w środku były butelki mleka, była też na drzwiach tej skrzynki mała skrzyneczka na pieniądze. Przychodziłyśmy z mamą codziennie po świeże mleko i wkładałyśmy pieniążki do skrzynki. Byłam zachwycona zaufaniem sprzedających to mleko i uczciwością kupujących.

Zdarzyło się, że na wakacje pojechała z nami starsza siostra mamy, której nie darzyłam wielką sympatią. Zaraz w pierwszym dniu pobytu nad morzem posmarowała się masłem i leżała plackiem na słońcu, żeby szybko się opalić. Przypiekła się jednak na raka i oczywiście odchorowała to. Kilka nocy spała na siedząco, bo nie mogła się położyć, nieźle się wycierpiała.

Nie była podobna do mamy, mama była młodsza i dużo ładniejsza od niej, no i chyba materialnie mama była w lepszej sytuacji, a ona jej wszystkiego zazdrościła, z tego też powodu miała zawsze kwaśną minę. Męża cioci za to bardzo lubiłam, był bardzo miły i serdeczny.

Ciocia miała też nieślubnego syna, który był znacznie starszy ode mnie. Ożenił się jak miałam 9 lat. W dniu jego ślubu zdrzemnąłam się trochę, a po przebudzeniu odezwałam się do niego z pretensją:

"Dlaczego nie czekałeś na mnie?"

Ubawiłam tym zdaniem wszystkich gości.

Wracając do wakacji, to kojarzyły mi się one ze smakiem wspaniałej jajecznicy z grzybami, którą uwielbiałam. Wstawałam codziennie o świcie i wychodziłam ukradkiem z mieszkania z koszyczkiem na grzyby, uzbrojona w mały nożyk. Chociaż trochę się bałam tych samotnych wypraw do lasu, to jednak nie mogłam sobie odmówić tej przyjemności. Znałam się dobrze na grzybach i łatwo rozróżniałam dobre od trujących. Po tym, gdy wracałam do domu zwykle wszyscy jeszcze spali, a ja zaczynałam je czyścić. Pierwsza wstawała mama i pomagała mi w obieraniu i na śniadanie była jajecznicą z grzybami.

Lubiłam samotność i stroniłam od ludzi. Miałam wtedy czas na rozmyślanie. Nękała mnie ciągle myśl, że moja nowa rodzina wzięła mnie z litości na wychowanie i że mnie nie kochają, że jestem im ciężarem. Dlatego unikałam zbliżania się do nich, ponieważ bałam się, że mnie odepchną, przecież nie jestem ich dzieckiem a okazywanie czułości było by fałszywe.

Gdy zdarzało się, że ktoś z nich podnosił głos z jakiegokolwiek powodu, kurczyłam się w sobie i myślałam: „Dlaczego nie ma mnie kto bronić?... dlaczego nie mam mamy ani taty jak inne dzieci...” Gdy mnie karcono, myślałam, że ciekawe, jakby moi rodzice zareagowali, czy tak samo, lub gorzej.

Moje przemyślanie w samotności uzmysłowiły mi jedną prawdę, że mogę liczyć tylko na siebie i muszę stać się niezależna od nikogo, pracować nad sobą, żeby być najlepszą.

Jak to jednak w życiu bywa, wiele razy przekonałam się, że moje oczekiwania się nie spełniły.

W wieku 18 lat byłam już osobą niezwykle poważną, tak, że często uważano mnie za dużo starszą niż byłam.

Nie sprawiało mi przyjemności obcowanie z moimi rówieśnikami, byłam znacznie od nich dojrzała i nie znajdowałam z nimi wspólnego języka.

Kim jestem, jak się nazywam i kim byli moi rodzice, dowiedziałam się dopiero w wieku 32 lat.

A przez wszystkie lata mojego życia zadawałam sobie pytanie: „Czy bycie Żydówką oznacza coś złego?, dlaczego inne dzieci odsuwają się odemnie?, dlaczego się śmieją ze mnie?, i dlaczego ja właśnie jestem Żydówką?, przecież nic złego nie zrobiłam”.

Myślałam, że jestem sama, dlatego muszę się uczyć wszystkiego, żeby być samodzielną i obejść się bez cudzej pomocy.

Może to było niesprawiedliwe w stosunku do mojej rodziny, ale myślałam, że w momencie jak skończę 18 lat, wszystkie ich obowiązki wobec mnie będą anulowane. Nie chciałam ich więcej obciążać, czułam wdzięczność za ich poświęcenie dla mnie i za uratowanie życia, szczególnie wobec mamy.

Nie czułam się związana uczuciowo z nimi, a tego było mi szczególnie brak, ponieważ bardzo potrzebowałam uczucia, że jestem kochaną. Dlatego poczucie samotności dręczyło mnie ciągle. Mamę podziwiałam, ale bałam się do niej zbliżyć, myślałam, że mnie odepchnie, przecież nie jestem jej dzieckiem, a ona jak się okazało czekała żebym do niej się zbliżyła, nie chciała mi się narzucać.

Kiedys powiedziała mi:

„Nie jesteś moim dzieckiem - nigdy do mnie się nie zbliżyłaś”.

Jedynе zbliżenie między nami zdarzało się w czasie kąpieli mamy, gdy myłam jej plecy. Bardzo lubiłam to robić jako dziecko.

Kiedy bawiłam się lalką, brałam małe kawałki futra i kładłam lalce w miejscach, gdzie widziałam u mamy owłosienie i mówiłam do lalki:

„Teraz jesteś kobietą”.

Mama opowiadała o tym gościom, którzy śmiali się ze mnie. Wiedziałam, że śmieją się ze mnie i to mnie bolało.

Kiedy byłam już dorosła, mama powiedziała mi o czym opowiadała gościom.

Chciałam być przykładem pod każdym względem, chciałam być najlepsza, najmądrzejsza i naj, naj, myślałam w swojej naiwności, że wtedy będą ludzie mnie kochać i szanować.

Prawda jest taka, że doszło do sytuacji, że wszyscy mi mówili, że jestem za dobra, za mądra, wszystko było „za” i to spowodowało, że ludzie niewygodnie czuli się w moim towarzystwie i zaczęli mnie unikać. Dlatego musiałam obniżyć trochę to „za”, co nie było proste, ale musiałam się starać zacząć być podobną do innych.

Od rzeczywistości uciekałam do książek, byłam najprawdziwszym mołem książkowym. Czytałam Kraszewskiego, Sienkiewicza i wielu innych pisarzy. Romanse mnie nie interesowały. Tak dobrze mi było w świecie literatury, bo tam czułam się bezpieczna.

Czasami ogarniają mnie wyrzuty sumienia, że unikałam mycia naczyń, bo nie lubiałam tego robić i miałam wymówkę, że mam dużo lekcji do odrobienia, a pod

zeszytem trzymałam książkę. Naczyń u nas było wiele do mycia bo rodzina była dość duża.

Przypominam sobie, że kiedy jeszcze byłam małą dziewczynką, szłam z mamą ulicą i zobaczyłam księdza - natychmiast klękałam na dwa kolana w kałuży, nie zwracając uwagi, gdzie klękam.

Miałam chyba ze 13 lat, kiedy szłyśmy z mamą i z synową jej siostry, która była w ciąży i zapytałam mamę, jak się odróżnia chłopca od dziewczynki.

Na to mama zdziwiona zapytała:

"To Ty nie wiesz",

"Nie wiem" -odpowiedziałam.

Na to mama:

„Po nosie”.

"Po nosie?" , myślałam, przecież ja mam nos jak chłopiec, to kim w takim razie ja jestem?

Kilka miesięcy później uczyliśmy się w szkole o budowie człowieka i o roli kobiety.

Na lekcji nauczycielka zapytała nas : "Dlaczego kobieta ma szerokie biodra?"

Wszystkie dzieci chichotały. Nie mogłam zrozumieć dlaczego się śmieją, podniosłam rękę i powiedziałam z całą powagą ;

„Bo musi rodzić dzieci”.

Nauczycielka była zadowolona z mojej odpowiedzi.

Powiedziała też : "Masz rację, że poważnie podchodzisz do tych spraw, dlatego poprawię Ci Twój stopień z biologii na dobry".

Poprzedniego dnia dostałam stopień dostateczny, bo nie umiałam wymienić wnętrzości żaby, której zrobiono sekcję, bo nie byłam w stanie patrzeć na tę żabę z rozciętym brzuchem, nie mogłam się skupić.

Najśmieszniejsze było to, że przyszedłam do domu i powiedziałam mamie: "Jak mama nie wie, skąd biorą się dzieci, to niech mama sobie przeczyta". Mama się roześmiała i powiedziała: "Wiesz, czasem zastanawiam się, co z Ciebie wyrośnie, geniusz czy debil, bo nie może być coś pośredniego. Boję się tylko, że ktoś kiedyś może wykorzystać Twoją naiwność”.

W średniej szkole byłam w klasie, w której było 40-u chłopców i 5 dziewcząt. Moj stosunek do męskiej rasy był negatywny, a po domowych doświadczeniach , stał się po prostu wrogi. Wprawdzie był w mojej klasie chłopak, w którym się podkochiwałam, ale on wykorzystywał to, przepisując moje zadania z rosyjskiego. Był też inny chłopak, który był we mnie zakochany, ale mnie zupełnie nie interesował.

Byłam przeciętną uczennicą. Byłam faworytką naszej nauczycielki do rosyjskiego bo miałam zdolności lingwistyczne. Zapraszała mnie do siebie do domu i częstowała ciasteczkami, a kiedy gdzieś wyjeżdżała przysyłała mi pocztówki. Miała męski głos i wszyscy się jej bali, bo jak mówiła: „Kak wy mienia nie budietie uczitsa, ja wam dwojki budu stawit”.

Nigdy nie chodziłam na żadne prywatki, wołałam książki.

Tuż przed maturą, nasza wychowawczyni zawołała mnie i powiedziała, że jeśli chcę otrzymać świadectwo dojrzałości, muszę wstąpić do ZMP (w tych czasach to był

związek młodzieżowy). Przed samymi egzaminami miałam problem, bo nie umiałam zawiązać czerwonego krawatu, dopiero któryś z chłopców mi pomógł.

To były czasy stalinowskie, codziennie rano były apele, śpiewaliśmy międzynarodówkę, ale pewnego dnia, gdy zdjęto krzyże w klasach, ja byłam tą, która powiesiła je z powrotem. Nawet nie pamiętam jak to się skończyło.

W dniu urodzin mamy, przyszła za nią z ulicy czarno-biała suczka spaniel, i mama stwierdziła, że jeśli pies przyszedł za nią w dniu jej urodzin, to ona potraktuje go jako prezent urodzinowy. Nazywaliśmy ją Łatka, bo miała dużą czarną plamę na grzbiecie.

Po krótkim czasie, ojciec stwierdził, że On też chce psa, ale rasowego i ładnego, no i zaczęły się poszukiwania odpowiedniego kandydata. W końcu znalazł owczarka podhalańskiego, białego, ślicznego, dwumiesięcznego szczeniaka.

Ojciec zamówił dla niego specjalne łóżko na krótkich nóżkach i specjalny materacyk.

Nazwaliśmy go Misiu.

Nie mogłam się na niego napatrzeć był taki słodki, że nie powstrzymałam się i w czasie, gdy spał pogłodziłam go po głowie. Widocznie coś mu się śnił, bo skoczył na mnie i jego zęby zjechały po moim policzku. Nie ugryzł mnie, gdy zrozumiał, co zrobił, zaczął lizać moje ręce i kłaść pyszczek na moich kolanach, patrząc mi w oczy pytającym wzrokiem, czy mu wybaczyłam.

Chyba cały tydzień chodził tak za mną, przymilał się do mnie, dopiero jak poczuł, że mu wybaczyłam, uspokoił się i bawił się ze mną.

Czasami, jeszcze w szkole powszechnej, w niedzielę wybieraliśmy się z Ojcem do lasu na rowerach, a Misiu biegł między nami na smyczy.

Ojciec był zawsze niezadowolony ze mnie, cokolwiek bym nie zrobiła nigdy mu się nie podobało.

Na jednej z naszych wycieczek do lasu, zagapiłam się na jakieś drzewo i wpadłam do rowu razem z rowerem tak, że potłukłam się trochę. Szybko wygrzebałam się stamtąd, żeby ojciec nie widział, bo napewno by powiedział: "Widzisz jaka jesteś ślimazara, nie patrzysz pod nogi i dlatego wpadłaś".

Po jakimś czasie zatrzymaliśmy się, żeby zjeść to, co mama nam przygotowała na drogę. Ojciec zauważył, że mam zakrwawione łokcie i kolana i zapytał mnie: „Co się stało?”.

Ja odpowiedziałam, że nie wiem, gdzie się pokaleczyłam.

A On na to: "Widzisz jaka z Ciebie niedołęga, nawet nie wiesz gdzie się pokaleczyłaś".

Łatka zaszła w ciążę i po 6-ciu tygodniach urodziła szczenięta. Przyglądałam się temu, to było dla mnie fascynujące. Każdy szczeniak był ślepy i pokryty galaretkową przeźroczystą powłoką, którą Łatka skwapliwie z niego zlizywała. I tak przybyło nam siedem szczeniaków. Siódmą z rzędu była biało-brązowa suczka, która została u nas, należała do Staszka i nazwaliśmy ją Zuzia.

Rodzina się powiększyła, prawie każdy miał psa, tylko ja nie. Do moich obowiązków należało wychodzenie z psami na spacer. Właściwie to nie ja wychodziłam z nimi, tylko one wychodziły ze mną, bo ja byłam na końcu każdej smyczy, one ciągnęły mnie przez ulicę, a ja nie byłam w stanie ich zatrzymać. Samochody się zatrzymywały, bo kierowcy widzieli, że ja zupełnie nad psami nie panuję. Naprzeciwko naszego domu

był placyk z zielenią i ławkami, klomby kwiatów a dookoła krzaki. Tam załatwiały swoje potrzeby.

Kiedy Zuzia wyrosła i miała szczeniaki, gdy miały dwa tygodnie wyjechaliśmy nad morze. Lekarz zalecił mi morze, ze względu na moje gardło i polipy. Szczeniaki zostały w domu, ze służącą, młodą dziewczyną ze wsi.

Po naszym powrocie, mieszkanie było wysprzątane, panował smród nie do zniesienia. Okazało się, że służąca trzymała wszystkie szczeniaki w wiklinowym koszu, wyłożonym na dnie zielonym aksamitem ze starych zasłon. W rezultacie, szczeniaki wyrosły, było im już ciasno w koszu i wszystkie były zielonego koloru, bo swoje potrzeby załatwiały w tym koszu. Biedactwa wyglądały tragicznie. Zanim wzięliśmy się za rozpakowanie walizek, zrobiliśmy szceniakom kąpiel i wyrzuciliśmy na śmietnik całą zawartość kosza.

Kąpanie psów było zawsze ciekawym obrzędem. Misiu był duży, bo wyrósł i miał specjalne przywileje, w przeciwieństwie do Zuzi i Łatki. Kiedy znajdował się w wannie, to staliśmy jeden obok drugiego przed wanną, żeby nie uciekł, bo nie lubił się kąpać. Najpierw mydliliśmy go, potem splukiwaliśmy wodą i uciekaliśmy z łazienki, bo wyskakiwał stamtąd i otrząpywał się. Potem otwieraliśmy drzwi i on biegł prosto do warsztatu. Tam na dużym stole, na którym ojciec zwykle szył i prasował, leżał koc, a na nim białe prześcieradło i Misiu wskakiwał na stół i tam ojciec go czesał szczotką i suszył suszarką.

Ten obrzęd trwał jakieś pół godziny lub nawet dłużej. Z Łatką i Zuzią była prostsza sprawa, bo po prostu kąpało się je, trochę szczotkowało i na tym się kończyło.

Ojciec uszył Misiowi buty z materiału na zimę, bo gdy był śnieg, przeszkadzał Misiowi w chodzeniu, a po powrocie ze spaceru ojciec zdejmował mu buty i wycierał mu łapy. To robił zimą, bo latem kiedy padał deszcz, to w misce płukał mu łapy i suszył ręcznikiem. Tak, że Misiu miał pełną obsługę.

Ojciec chodził z Misiem do parku na spacer, ale jak Misiu zdechł na raka, ojciec poszedł raz do parku z Zuzią i wtedy napadli na niego złodzieje i pobili. Ojciec postanowił kupić znów dużego psa. Tym razem był to owczarek niemiecki, który dostał imię w spadku po Misiu. Był też bardzo ładny i lubiał, gdy byłam w białej bluzce, kiedy wracał ze spaceru, skakał na mnie od tyłu i zostawiał na niej pieczątki z błota.

Nie pamiętam już, ile lat każdy z nich żył, ale 2 psiaki zdechły na raka cierpiąc niemało, tylko Łatkę przejechał samochód i tak zakończyła swoją historię.

Świat Się Wali

Byłam przed maturą, zajęta nauką i przygotowaniem do końcowych egzaminów, które miały się odbyć za pół roku. Pomimo iż czułam, że w domu coś złego się dzieje, nie miałam pojęcia, co. Dziwnymi wydawały mi się szepty po kątach, kiedy wchodziłam do pokoju - rozmowy się urywały. Nie czułam się zagrożona, ale to było podejrzane.

Pewnego dnia dowiedziałam się, że Jaśka się wyprowadziła. Jaśka przyjechała z nami z Częstochowy, bo i w czasie wojny pracowała u ojca w warsztacie krawieckim. W domu w ogóle nie czuło się jej obecności. Mało mówiła, nie zwracała na siebie uwagi. Ja osobiście, nie wiem dlaczego, nie znosiłam jej. Być może dlatego, że czułam, że jest złym człowiekiem. Pamiętam, wtedy, gdy myła się nad miednicą, zawsze na szyi zostawał pas brudu. Dla mnie była odpychająca. Była blondynką z rzadkimi włosami, twarz miała też szarą, bo prawie nie wychodziła z domu, tylko w niedzielę, do kościoła.

Pewnego razu posłano mnie do niej na wieś.

Jej matka mieszkała z córką Marysią - siostrą Jaśki. Marysia w przeciwieństwie do niej, była bardzo sympatyczna i serdeczna. Jej matka nie miała własnego domu, tylko mieszkała u niewidomego. Prowadziła mu gospodarstwo i opiekowała się nim.

W czasie mojego pobytu gospodarz prosił Marysię żeby pobieliła mieszkanie, ale Marysia i jej matka chciały kwiatki na ścianie, wbrew woli gospodarza. Marysia pobieliła i zaczęła się praca malowania kwiatków, tak, żeby gospodarz się nie zorientował. Ja też malowałam kwiatki, co było bardzo proste, bo wzór był wycięty w kartonie, trzeba go było przyłożyć do ściany i zapęłnić kolorami. Codziennie malowałam kilka kwiatków, Marysia też. Kiedyś ktoś z sąsiadów przyszedł i powiedział:

„Jak ładnie tu pomalowaliście”, a gospodarz na to : „Nie pomalowaliście, tylko pobieliście”.

Zaczęliśmy dawać znaki gościowi, żeby nas nie zdradził. Bardzo mnie to rozśmieszyło, ale się opanowałam, żeby Marysia nie miała kłopotów.

We wsi był dom, w którym mieszkał groźny pies. Gospodarze tego domu zaproponowali mi, że zawsze będę mogła do nich przyjść po gruszki i zebrać ile chcę, oczywiście te, które spadły z drzewa.

Pewnego dnia przyszłam, kiedy gospodarzy nie było w domu. Weszłam do zagrody, żeby zebrać parę gruszek i naraz zobaczyłam w odległości kilku metrów ich psa, który patrzył na mnie. Zdążyłam zauważyć, że łańcuch był zerwany, bo wisiał na linie, po której się posuwał, kiedy pies chciał biegać. Zamarłam ze strachu a pies bezczelnie patrzył mi prosto w oczy. Powoli, milimeter po milimetrze cofałam się do tyłu a pies nie ruszał się z miejsca, tylko patrzył na mnie.

Następnego dnia opowiedziałam o tym gospodarzom, a oni się śmiali, bo chociaż łańcuch był zerwany, pies był uwiązany na powrozie.

Bardzo lubiłam jeść świeży chleb, który piekla matka Jaśki, na chlebie była śmietana i trochę cukru, to był prawdziwy przysmak.

Wracając do Jaśki, to trudno było wiedzieć o czym myśli, ale zauważyłam, że Jaśka była zadowolona, kiedy zdarzała się kłótnia w domu, nieważne z jakiego powodu, przysłowiowa „cicha woda”.

Pewnego dnia młodszy brat Edek wrócił do domu pijany, jak zwykle. Wszyscy siedzieli wokół stołu przy obiedzie. Edek zwrócił się prosto do ojca ze słowami:

„Dlaczego ojciec śpi z tą k....,ja się z nią p....., ojciec się nie wstydzi?”

W jednym momencie mój świat pełen ideałów zawalił się jak domek z kart. Zrozumiałam dlaczego Jaśka się wyprowadziła i dokąd ojciec codziennie wychodził.

Co do stosunku ojca do mamy, to nigdy się do niej nie odnosił, jak powinien. Teraz stał się nie do wytrzymania.

Kilka miesięcy wcześniej mama poszła do niego do warsztatu i powiedziała mu, że Edek ma problemy i On, jako ojciec powinien mu pomóc. W odpowiedzi kopnął mamę w pierś, tak, że się przewróciła.

Ile Ona biedna wylała przez niego łez, obrażał ją nawet przy mnie, ja zawsze próbowałam ją uspokoić.

Pewnego razu nie wytrzymałam, gdy przy mnie ją obraził i powiedziałam mu jedno słowo:

„Cham”.

„Kto?” zapytał, a ja mu odpowiedziałam :

„Pan Z.”.

Wtedy zmienił mu się wyraz twarzy, jego oczy przypominały oczy dzikiego zwierzęcia, złapał nóż kuchenny i rzucił się z nim na mnie. Na moje szczęście w tymże momencie wszedł do kuchni Staszek . Po krótkiej walce wyrwał ojcu nóż z ręki i zaczął na niego krzyczeć:

„Co się dzieje, ojciec zwariował, czy co?”

Staszek powiedział mi, żebym wyszła z kuchni, a ja jak idiotka odpowiedziałam: „Ja nie wyjdę, bo jestem tutaj zameldowana.” Widocznie byłam w szoku. Ale za chwilę wyszłam.

Długo z ojcem nie rozmawiałam po tym incydencie.

Kilka dni później mama opowiedziała mi o swoim dzieciństwie. Jej matka zmarła, kiedy Ona była jeszcze dzieckiem. Jej ojciec ożenił się ponownie. Jej macocha była dokładnie taka, jak w opowieści o Kopciuszku: Zmuszała ją do ciężkich prac domowych, nie pozwalała chodzić do szkoły. Mama , kiedy tylko mogła, biegła do szkoły boso, pomimo mrozu, a szkoła była bardzo daleko. Kiedy trochę podrosła, ale nadal była dzieckiem, macocha posyłała ją do sprzątania do cudzych domów i zabierała pieniądze, które ona zarobiła.

Prawdę mówiąc , nie miała domu.

Kiedy ojciec zaproponował jej małżeństwo, nie miała innego wyjścia, jak się zgodzić, ponieważ 16 –letni Staszek nie mógł jej zapewnić dachu nad głową, a sama nie miała gdzie iść.

Jaśka, jak się wyjaśniło, chciała Staszka, ale on nawet nie patrzył w jej kierunku, bo był zakochany w mamie. Widząc, że nic z tego nie wyjdzie, to znaczy, że Staszek się z nią nie ożeni, spała z Edkiem, a potem też z ojcem.

Ojciec postanowił rozejść się z mamą i ożenić z Jaśką.

Jaśka była młodsza od niego o 28 lat.

Dla mamy rozwód był bardzo ciężkim przeżyciem po 24 latach małżeństwa, w tym wojna i te wszystkie lata, które poświęciła rodzinie. Załamała się zupełnie i próbowała popełnić samobójstwo.

Pierwszy raz było to, kiedy ja wyszłam z domu odprowadzić koleżankę. Wróciłam po pół godziny i nie mogłam zrozumieć co się dzieje, ojciec w salonie, mama na podłodze na pół przytomna i ojciec dzwoni po pogotowie. Zrozumiałam, że próbowała otruć się gazem. Ojciec wrócił tego dnia wcześniej od Jaśki i znalazł ją w kuchni z głową w piekarniku. Zamknął gaz, wciągnął ją do salonu i przewietrzył mieszkanie.

Mamę zabrano do szpitala. Tej samej nocy do szpitala przywieziono młodą kobietę w ciąży, która jak się okazało po badaniu, zachorowała na Heine-Medina.

Następnego dnia zablokowano całe piętro i nikt nie mógł wejść odwiedzić swoich chorych. Przekazałam jednej z pielęgniarek coś do jedzenia dla mamy, a ona się wzdrygnęła i powiedziała: "Ja tam nie wejdę". Przeraziłam się co się stało, ale druga pielęgniarka widząc moje przerażenie, powiedziała: "Daj mi to, ja tam wejdę".

Mama przez telefon powiedziała mi, że jeśli zobaczy u siebie pierwsze objawy choroby, to skoczy z okna. Jej pokój był na 4-tym piętrze, a ja wiedziałam, że Ona jest w stanie to zrobić.

Biegałam do niej codziennie do szpitala, bo się bałam, żeby sobie czegoś nie zrobiła.

Kwarantanna trwała – nie pamiętam – trzy, czy cztery tygodnie. Tyle czasu i niepewności, a kiedy mama wróciła do domu, musiałam jej ciągle pilnować, żeby znów nie próbowała się zabić.

Był grudzień, czy styczeń, nie pamiętam dokładnie i półrocze w szkole. Naraz zrozumiałam, że jak nie przysiędę do nauki, to nie będę miała szans na zdanie matury.

Przybiegałam ze szkoły, siadałam z mamą, trzymałam ją za ręce i próbowałam ją przekonać, jak bardzo jest mi potrzebna i że jeszcze będzie jej dobrze w życiu.

Był to dla mnie bardzo ciężki okres, bo siedząc w szkole, myślałam tylko o tym, czy Ona jest w porządku. Nie byłam w stanie się uczyć.

Po raz drugi mama próbowała popełnić samobójstwo, kiedy wróciłam ze szkoły i zobaczyłam pusty słoiczek po tabletkach nasennych – natychmiast zorientowałam się co się stało. Zawołałam pogotowie, przeplukano jej żołądek w szpitalu i znów ocalała.

W sądzie na sprawie rozwodowej mamy i ojca byłam świadkiem na rzecz mamy, ale kiedy sędzia zapytał, kim jestem, mama odpowiedziała: "Ofiara wojny". Po tym oświadczeniu trudno mi było mówić, nie mogłam otworzyć ust, ostatecznie coś tam wybełkotałam.

Dwa miesiące przed moją maturą, ojciec otrzymał rozwód z mamą i natychmiast ożenił się z Jaśką.

Miesiąc przed moją maturą mama poczuła się źle i znów znalazła się w szpitalu. Tym razem okazało się, że miała duże mięśniaki w macicy i trzeba było macicę usunąć.

Znów zaczęłam biegać codziennie do niej do szpitala, który był daleko od domu. Mama nie chciała jeść szpitalnego jedzenia, tak, że próbowałam gotować, według jej wskazówek przez telefon i dzwigałam to, co ugotowałam przez miasto, bo nie było tam bezpośredniej komunikacji.

W nocy dawałam koleżance korepetycje z matematyki, bo nie umiałam odmówić jej matce, a w dzień biegałam do szpitala. Prócz tego miałam na swojej głowie cały dom: pranie, sprzątanie, 3 psy, no i gotowanie. Powiedziałam mamie, że nie pójdę na egzaminy, bo nie chcę sobie narobić wstydu, że się nie przygotowałam. Ale mama mnie prosiła:

”Spróbuj, nie byłaś złą uczennicą, może Ci się uda. Jeśli nie zdasz matury, nie będę miała do Ciebie pretensji, bo wiem, że nie miałaś kiedy się uczyć”.

Na egzaminie z matematyki nasz nauczyciel był bardzo ze mnie zadowolony, bo interesował się tylko moimi skarpetkami a moja wychowawczyni uśmiechała się z zadowolenia. W sumie, był to jedyny przedmiot, z którego byłam przygotowana.

Nasz nauczyciel fizyki był sławny, nazywał się Zilinger i napisał kilka podręczników do nauki fizyki.

Przykro mi było, bo On uważał, że jestem bardzo zdolna. Pamiętam, kiedy wołał kogoś do tablicy to spuszczał okulary, a myśmy kurczyli się w ławkach, żeby tylko nas nie wybrał. Kiedyś wyprowadzał jakiś nowy wzór i zawołał mnie do tablicy. Byłam w panice, bo nie wiedziałam, czego chce. Powiedział mi, żebym wyprowadziła ten nowy wzór. Pociłam się, próbowałam jak mogłam, ale mi się nie udało. W końcu powiedział:

”No, dziecko, nie zrobiłaś tego, co chciałem, ale dostaniesz czwórkę za to, że umiesz myśleć.”

Nie wierzyłam swojemu szczęściu, bo u niego dostać czwórkę było bardzo trudno. Część klasy miała trójkę, a większość trójkę na szynach (z dwoma minusami) jak to nazywaliśmy. Na maturze niestety rozczarowałam go trochę, bo powiedział, że spodziewał się po mnie więcej. Cóż, było mi przykro, ale nie mogłam się tłumaczyć, musiałam pogodzić się z trójką. Muszę przyznać, że sama nie wierzyłam, że zdam maturę również z innych przedmiotów, ale obyło się bez problemów.

Mama po wyjściu ze szpitala zapytała mnie pewnego dnia:

”Co sądzisz o tym, czy ja mam wyjść za Staszka, bo mi się oświadczył?”

Ja powiedziałam:

”Ja wiem, że mama go kocha i nie chce alimentów ojca. Właściwie to jest najlepsze wyjście - wyjść za niego, ale on był zbyt spokojny całe życie, ja się boję, żeby nie zaczął szumieć”.

Na to mama powiedziała:

”Każdy, tylko nie Staszek. Nawet jak będę pięć lat szczęśliwa, to mi wystarczy”.

Ojciec, po ślubie z Jaśką wrócił do domu i podzieliliśmy mieszkanie: w dwóch frontowych pokojach mieszkaliśmy mama ze Staszkiem i ja, a w dwóch tylnych pokojach ojciec z Jaśką. Jaśka zorganizowała sobie w korytarzu kuchnię.

Salon pozostał przejściowym pokojem.

Były różne sytuacje, na przykład w czasie pokoju w święta, wymieniane były prezenty, a w czasie wojny domowej, łamało się krzesła na głowach.

Dla mnie sytuacja była też dziwna, mój brat był teraz jakby moim ojcem, bo był mężem mamy.

Po ślubie mamy ze Staszkiem po raz pierwszy widziałam mamę szczęśliwą. Szkoda tylko, że to szczęście trwało tak krótko, bo niecałe dwa lata.

* * *

Chciałam dostać się na uniwersytet w Krakowie. Mama namówiła mnie, żebym poszła na zootechnikę, co niezbyt mi odpowiadało, ale żeby była zadowolona - zapisałam się na egzaminy wstępne. Przyjęto mnie, chociaż na jedno miejsce było 10 kandydatów. Problem polegał na tym, że ponieważ ojciec był "prywatną inicjatywą"- nie miałam prawa ani do akademika ani do stypendium.

Napisałam do ojca list, a on mi odpisał, że matura mi wystarczy, bo on nawet tego nie ma. Odpisałam mu, że nic więcej od niego nie chcę, a uniwersytet skończę, bo tak postanowiłam.

Muszę dodać, że sąd przy rozwodzie orzekł, że ojciec ma płacić na mnie alimenty aż do skończenia uniwersytetu.

Wróciłam do domu i miałam problemy ze znalezieniem pracy, bo nie miałam skończonych 18 lat, ale w końcu przez kogoś - nie pamiętam przez kogo - dostałam pracę na budowie domów mieszkalnych. Warunki tam były niełatwe, bo barak był z desek, a między deskami były szpary, tak, że wiatr hulał jak chciał. Zimą siedziałam koło piecyka w kufajce, spodniach, rękawiczkach i nogach owiniętych kufajką na buty. Kiedyś pamiętam termometr pokojowy, który był w szafie rozleciał się, bo temperatura była zbyt niska.

Z całej mojej pierwszej wypłaty kupiłam mamie torebkę. Byłam taka szczęśliwa, że za zarobione przeze mnie pieniądze mogę jej coś kupić!

Na początku oddawałam jej cały mój zarobek, a jak czegoś potrzebowałam, to prosiłam o pieniądze. Pewnego dnia mama stwierdziła, że więcej biorę, niż jej daję, więc poprosiłam, żeby mi powiedziała, ile chce na życie, a ja z resztą sobie poradzę. Tak było - dawałam jej tyle, ile zażądała, tak, że zostawało mi tylko na bilet miesięczny i w wypadku, gdy zapomniałam zabrać śniadanie - mogłam sobie pozwolić jedynie na kupno suchej bułki.

Latem było nieźle, bo byłam jedyną kobietą na budowie i codziennie, kiedy przychodziłam do pracy, stały świeże kwiatki w wazonie, które robotnicy kradli z sąsiednich ogródków, a na stole słodczyce i papierosy.

Ja nie paliłam, ale pracowałam z bardzo miłym młodzieńcem, w którym się podkochiwałam z wzajemnością. Linijką mierzyłam odległość, na jaką pozwalałam mu się zbliżyć do mnie, tak, że nie dawałam mu szans na zbliżenie.

On nie cierpiał palących kobiet, a ja ostentacyjnie zapalałam papierosa, żeby go drażnić.

Pewnego dnia, gdy byłam sama w biurze, moja ręka powędrowała w stronę papierosa. W tym momencie zrozumiałam, że z łatwością mogę wpaść w nałóg. Od tego dnia nie tknęłam więcej papierosa, a z nim nigdy się nie dogadałam, bo po moich domowych doświadczeniach nie wierzyłam mężczyznom. Ożenił się później z moją koleżanką,

W tym czasie poznałam – też w pracy - młodzieńca, który był Żydem i miał rude włosy. Bardzo się mną zainteresował i zapraszał mnie na tańce, ale ja zawsze odmawiałam. Przyczyna była prosta – nie miałam odpowiedniej sukienki. On chciał zrozumieć dlaczego i w końcu mu powiedziałam.

Pamiętam, że mnie zapytał: "Nie masz nawet sukienki z tafty?" Oczywiście, że nie miałam. Chciał jechać ze mną na swoim motocyklu, też odpowiedziałam, że nie mogę i też chciał wiedzieć dlaczego?. Powiedziałam, że nie mam

spodni. Zaproponował, że ma znajomą, żonę kolegi, w moich rozmiarach i ona na pewno mi pożyczy spodnie lub sukienkę, ale odpowiedziałam, że ja w cudzych rzeczach nigdzie się pójde.

Przez długi czas próbował się ze mną spotykać, ale nic nie wyszło z tych spotkań, bo rzeczywiście nie miałam co na siebie włożyć. Miałam jedną sukienkę na lato, którą codziennie prałam. Czasami dodawałam kołnierzyk i bardzo mnie śmieszyło, gdy słyszałam jak mówiono, że jestem elegancka. Zimą było to samo.

Minął rok lub dwa. Budowa została zakończona i przeniesiono mnie do biura w Gliwicach. Teraz musiałam dojeżdżać. Musiałam wstawać wcześniej, bo pociąg miałam o 5-tej rano, potem autobus. Wracałam koło 6-tej wieczorem. Czasami zimą, gdy pociągi się opóźniały z powodu śniegu, wracałam nawet o 7-ej lub 9-tej wieczorem.

Zimą było bardzo ciężko, bo nie miałam odpowiedniej odzieży i butów, tak, że w pociągu marzłam. Odmroziłam sobie palce u stóp pomimo, że okręcałam je gazetami, przez długie lata cierpiałam na odmrożenia i swędzenie z tego powodu.

Nigdy też nie prosiłam rodziny o pomoc. Myślałam, że dostatecznie dużo dla mnie zrobili ratując mnie i że nie mam prawa prosić o cokolwiek.

Był to okres, w którym zaczęłam trochę szyć. Najpierw uszyłam sobie z resztki materiału, który tanio kupiłam szlafrok, bo mi w domu było zimno. Szlafrok nie był zbyt udany, ale trudno. Służył mi jakieś 10 lat, bo na inny nie mogłam sobie pozwolić. Prawdę mówiąc, ucieszyłam się, kiedy się rozleciał.

Powoli zaczęłam szyć. Kupowałam resztki materiałów i szyłam sobie bluzki, spódniczki. Rzadko, bo nawet na resztki nie miałam pieniędzy.

Wchodziłam do warsztatu ojca, patrzyłam, jak szyją i tak powoli zaczęłam robić ojcu konkurencję. Zaczęłam szyć dla koleżanek, żeby zarobić parę groszy.

Miałam przyjaciółkę, która miała 3 córki: 2 bliźniaczki i trzecią młodszą. Nie powodziło im się zbyt, więc proponowała mi, żebym uszyła płaszcze dla niej i dwóch starszych córek ze starych, wełnianych koców, które należały do jej ś.p. babci.

Powiedziałam, że spróbuję. Ten 3-ci koc miał dużą dziurę w środku. Powiedziała mi, że jeśli mi się uda chociaż żakiet zrobić z tego dziurawego koca, to też będzie zadowolona.

Uszyłam w końcu 3 płaszcze, nawet z koca z dziurą udało mi się uszyć płaszcz princess i kiedy szły ulicą w trójkę, to wszyscy się za nimi oglądali. Płaszcze wyszły bardzo eleganckie i cała trójka była szczęśliwa, prawdę mówiąc ja też.

Kiedy ojciec zobaczył, co ja potrafię, zapytał mnie, kiedy ja się w ogóle nauczyłam szyć, bo przecież nigdy mnie nie było w domu. Niedługo potem zabronił mi szyć w jego warsztacie, po prostu z zazdrości.

Mamusia pomagała w warsztacie 20 lat, ale szyć nie umiała. Ja szyłam jej wszystko.

Nawet Jaśka, chociaż to był jej zawód, gdy chciała sobie uszyć sukienkę, prosiła mnie, żebym jej skroiła, chociaż zdała egzamin na majstra.

Zmieniłam pracę i zaczęłam pracować w KMPiK w Katowicach. Skończyło się dojeżdżanie. Teraz miałam do dyspozycji wszystkie książki i bestsellery, które się ukazywały.

Wszystko zaczęło się od pokojowego wspólnego urlopu dwóch nowych rodzin. Nie pamiętam, dokąd wyjechali, wiem tylko, że w wynajętym pokoju mieszkał ojciec z Jaśką a w kuchni mama, do której dojeżdżał Staszek, bo praca nie pozwalała mu na normalny urlop.

W dzień wyjazdu, Staszek odprowadził ich na dworzec i wrócił do domu. Było bardzo wcześnie i ja jeszcze spałam, nie słyszałam nawet jak wrócił. Spałam zawsze bardzo głęboko, prawie co noc śniło mi się, że uciekam przed Niemcami i chowam się w różnych miejscach. Kiedy spałam z mamą, zdarzało mi się ją nieźle skopać. Tym razem też widocznie śniłam, że uciekam i moja koszula nocna zamiast na ciele, była na głowie. Staszek, kiedy wrócił przykrył mnie koldrą. Nawet tego nie zauważyłam.

Problemy zaczęły się rano. Zwróciłam uwagę na to, że Staszek zachowuje się bardzo dziwnie, ale nie przywiązywałam do tego szczególnej wagi. Zdziwiło mnie tylko, że powiedział:

„Wiesz, ja Cię widziałem dziś rano”,

„Teraz też mnie widzisz” zareplikowałam, nie widząc sensu w jego słowach.

„Widziałem Cię odkrytą” kontynuował.

„To powinienes być mnie przykryć” odpowiedziałam, nadal nie rozumiejąc o co mu chodzi. W pewnym momencie zbliżył się do mnie, żeby mnie pogłaskać, czy coś w tym rodzaju. W tym momencie zrozumiałam o co mu chodzi i naraz poczułam do niego obrzydzenie. Odepchnęłam go z siłą, której nie podejrzewałam u siebie. Wylądował na garnkach na piecu - bo to było w kuchni. Uprzedziłam go, że jeśli się znów do mnie zbliży, to ja nie odpowiadam za siebie i za to, co będę w stanie zrobić.

Po powrocie z pracy zauważyłam, że kupił szynkę i czekoladę. Zapytałam go po co to wszystko kupił. Odpowiedział, że dla mnie. Powiedziałam mu, żeby to co kupił zabrał z moich oczu, bo jeśli nie, to wyrzucę wszystko przez okno.

Ja jadłam suche bułki, bo zarabiałam niewiele, a pieniądze, które miałam do dyspozycji wystarczały mi jedynie na skromne wydatki.

„Ale ja cię wziąłem z ulicy, powinnaś być mi wdzięczna, że Cię uratowałem”.

„Jeśli po to mnie wziąłeś z ulicy, to mogłeś mnie lepiej tam zostawić”.

Złość i rozczarowanie wypełniły moje serce, bo przecież był dla mnie jak brat, nawet jak ojciec, bo poświęcał mi więcej uwagi, niż ojciec.

„Przyjdzie pierwszy lepszy z ulicy i Cię weźmie”.

„A w czym Ty jesteś lepszy od pierwszego lepszego”- nie mogłam opanować goryczy.

Do tego momentu myślałam, że świat jest piękny a ludzie – z małymi wyjątkami - dobrzy. Staszek w tej chwili stracił w moich oczach wszystko dobre, co dla mnie zrobił w ciągu tylu lat. Braterskie uczucia, które odczuwałam w stosunku do niego, zamieniły się w obrzydzenie.

„Czy za wszystkie dobre uczynki wystawia się w końcu rachunek?” –myślałam.

„Czy świat jest taki wyrachowany i brudny, czy tylko On ma taki słaby charakter i nie umie nad sobą zapanować”- te myśli krążyły po mojej głowie. Nie mogłam znaleźć odpowiedzi na moje pytania.

Sytuacja była nie do zniesienia, a nie mogłam się nikogo poradzić, bo się wstydziłam.

Postanowiłam rano z nim porozmawiać, myślałam, że się uspokoi i będzie można przemówić do jego zdrowego rozsądku.

Rano zaczęłam od tego, że zapytałam go: „Powiedz mi, gdybym zgodziła się na to, czego chcesz, czy wyobrażasz sobie jaką sytuacja by się wytworzyła w domu?” „Zostałabyś z mamą i ze mną” – odpowiedział spokojnie. Zapytałam, czy zastanowił się, nad tym co powiedział.

Zaczęłam się go po prostu bać. Kiedy zabrał klucze od wszystkich pokoi - całą noc nie pozwoliłam mu wejść do mieszkania, zablokowałam drzwi wejściowe. Dzwonił do drzwi, telefonował z pobliskiego telefonu publicznego, a ja nie odpowiadałam. Dopiero nad ranem, kiedy wychodziłam do pracy, pozwoliłam mu wejść. „To jest nieludzkie, co zrobiłaś, ja wracam po 12 godzinach pracy” – krzyczał. „A to co ty robisz, to Twoim zdaniem jest ludzkie?” – odpowiedziałam. Zapraszałam koleżanki do mnie na noc, bo nie wiedziałam, co robić. „Boisz się mnie i zapraszasz koleżanki, żeby z Tobą spały” – ironizował. Nie odpowiadałam na te uwagi.

W ciągu dnia, kiedy był w domu, leżał w łóżku i wył jak pies. To było okropne. „Czym różni się człowiek od zwierzęcia” – myślałam.

Kiedy znów zabrał mi klucze od wszystkich pokoi, zablokowałam wejście ciężkim stołem, który ledwo udało mi się przysunąć do drzwi. Byłam piekielnie zmęczona, bo w pracy miałam ciężki okres – dużo pracy - a w domu też nie miałam odpoczynku. Czekałam na moment, żeby wszyscy wrócili do domu.

Pewnego dnia przyszły dwa telegramy: jeden do mamy, że jej brat zmarł, zaś drugi do ojca, że jego brat również zmarł. Staszek pojechał zawieźć te telegramy i tam został.

Jaśka całe życie czekała na taką okazję.

Załatwiłam sobie urlop nad morzem i kiedy mama i ojciec przyjechali na pogrzeby, tego samego dnia wyjechałam na dwa tygodnie do Międzyzdrojów.

Miałam tam spać w domku campingowym, ale starsza pani, która miała ze mną mieszkać, nie chciała młodej dziewczyny i poprosiła swoją koleżankę, żeby z nią zamieszkała.

Tak, że na moje szczęście, mieszkałam w budynku z miłą młodą dziewczyną. Lało jak z cebra prawie całe dwa tygodnie. W domkach campingowych było bardzo zimno, ale my miałyśmy lepsze warunki. Pamiętam, że dokwaterowano nam trzecią osobę: była to pani w średnim wieku, obfitych rozmiarów, tak, że ledwo mogła przejść przez drzwi. Kiedy otworzyła swoją walizkę i wyleciały z niej męskie papucie, męska piżama i jakieś papiery - obie parsknęłyśmy śmiechem. Biedna pani wydała jakiś jęk.

Okazało się, że zamieniono jej walizkę, bo takich walizek było wiele. My obie smarkule próbowałyśmy sobie wyobrazić, jak zareagował ten ktoś, po zobaczeniu jej majtek.

Pani pobiegła do biura i następnego dnia przywieziono jej walizkę.

Pogoda dla mnie była doskonała do spania, odespałam wszystkie nieprzespane noce.

Kiedy wróciłam do domu, mama do mnie podeszła i powiedziała: „Wiesz, co się stało?”

„Domyślam się” – odpowiedziałam.

„Czego się domyślasz?” - zapytała mama.

„Że Jaśka i Staszek spali razem”- wyrzuciłam z siebie.

„Skąd wiesz?” – zapytała mama.

Opowiedziałam mamie, co zaszło w domu, kiedy ich nie było, a mama spokojnie odpowiedziała :

„Ja wiem, że Ty nigdy nie zrobisz czegoś, co uważasz za złe. Wiesz, jak Ty ją wyczułaś, nigdy jej nie lubiłaś, poznałaś się na niej, a ja nie. Ja ją lubiłam do momentu, kiedy rozbiła naszą rodzinę” – powiedziała z goryczą.

„Dobrze, ale mamusia musi wiedzieć, co by było w tym domu, gdybym nie była taka, jaka jestem. Teraz mamusia wie, dlaczego to z Jaśką się stało, ale mamy nowy problem, bo ja nie mogę siedzieć ze Staszkiem przy jednym stole po tym wszystkim”.

„Ty jesteś już dorosła, tak, że musisz odejść, bo ja go kocham pomimo wszystko”- odpowiedziała mama.

Poszłam do kuchni i zaczęłam płakać, bo znaleźć gdzieś pokój, to było niemożliwe, ponieważ sytuacja mieszkaniowa była bardzo ciężka.

Ojciec wszedł do kuchni i zapytał, dlaczego płaczę, no to mu opowiedziałam, a On zaproponował:

„To chodź do mnie, w warsztacie masz łóżko.”

Wzięłam swoje manatki i poszłam do ojca do warsztatu, gdzie spałam pod ubraniami, wiszącymi nad łóżkiem. Musiałam wcześniej wstawać, zanim przyjdą uczennice do warsztatu.

Mama zachorowała, było podejrzenie o raka, bo miała jakiś guz w płucach, w okolicy serca, który ją uciskał. Leżała w szpitalu onkologicznym w Gliwicach, a ja tam do niej dojeżdżałam. Szpital był przygnębiający. Zrobiono jej tam bardzo ciężkie badania, ale po sześćcio-godzinnej operacji okazało się, że to była sarkoma, nowotwór dobrotliwy a nie złośliwy. Wytworzył się w miejscu, w którym ojciec ją kopnął dwa, czy trzy lata wcześniej.

Biedna mama, tyle razy w szpitalach, operacje i życiowe rozczarowania.

Przyjeżdżałam do niej codziennie i napatrzyłam się na wiele ludzkich tragedii. Widziałam młodych ludzi na wózkach, szczęśliwych, że wracają do domu, nie wiedzących, że zwolniono ich ze szpitala, żeby umarli w domu i nie zwiększali śmiertelności w szpitalu.

Okropnie było patrzeć na ludzi z rakiem skóry, bo dookoła mieli na czarno pozaznaczane miejsca do naświetlania. Serce mi się ścisnęło na widok chorych niemowląt. To był najsmutniejszy szpital, jaki w moim życiu widziałam.

W krótkim czasie po tym Staszek znalazł sobie młodą, w moim wieku kochankę. Rozszedł się z mamą, ożenił z nią i urodził mu się syn.

Mama mnie spytała:

„Skąd Ty wiedziałaś, że tak się stanie, miałaś przecież 17 lat i nie miałaś doświadczenia życiowego. To po prostu nie do wiary.”

Prawdę mówiąc, od dziecka miałam jakąś intuicję, byłam trochę czarownicą, bo wszystkim przepowiadałam, co się stanie i dokładnie wszystko się spełniało.

Nawet na koloniach wszyscy mnie pytali, kiedy dostanę paczkę, albo list a ja mówiłam:

„Ty dostaniesz jutro list, a ty dostaniesz paczkę, a ty nie dostaniesz nic”- i tak dokładnie się działo. Nawet nasza opiekunka tam mnie pytała i też się sprawdzało.

Później zaczęłam przepowiadać z kart i mówiłam rzeczy, o których nie miałam pojęcia , a wszystko okazywało się prawdziwe.

Mama zaczęła mnie prosić, żebym do niej wróciła, ale po tych wszystkich przeżyciach zmieniła się: trudno ją było zadowolić i miała zmienne humory. Wolałam męczyć się w warsztacie i nie mieć własnego kąta, niż u mieć u niej pokój. W tym okresie uczyłam się księgarstwa w Warszawie i raz w miesiącu jeździłam do Warszawy na wykłady.

Mama zaczęła zapraszać mnie na obiady i przygotowywać mi kanapki na drogę do Warszawy. Było mi z tym niewygodnie. Myślałam, że Ona próbuje mnie przekupić, żebym do niej wróciła, a z drugiej strony uważałam, że tyle dla mnie zrobiła, że i ja też powinnam coś dla niej zrobić.

Ostatecznie wróciłam do niej. Kiedy mieszkałam u ojca, obiady jadałam w stołówce w pracy, a śniadania i kolacje przygotowywałam sobie sama. Kiedy wróciłam do mamy – dawałam jej pieniądze na jedzenie, bo Ona nie miała środków do życia.

Staszek oficjalnie mieszkał z nami, ale nie przychodził do domu. Na początku, po ślubie mamy ze Staszkiem ja mieszkałam w jednym pokoju, a On z mamą w drugim. Teraz wróciłam do swojego pokoju.

Pewnego dnia przyszedł Staszek pijany i natknął się w korytarzu na ojca. Rzucił się na niego z obelgami zaczął go bić. Zrozumiałam, że to poważna sprawa i wybiegłam z domu szukać pomocy na ulicy. Byłam przestraszona, złapałam policjanta, próbując szybko wyjaśnić mu, co się dzieje i pełna wstydu zaciągnęłam go do domu, a jemu udało się ich jakoś rozdzielić. Po wyjściu policjanta, ojciec wyrzucił Staszka z domu.

Teraz miałam oficjalnie swój pokój. Był to okres wakacji i pierwsza rzecz, którą zrobiłam, to pobiegłam do Wyższej Szkoły Ekonomicznej w Katowicach dowiedzieć się, czy będę mogła jeszcze przystąpić do egzaminów wstępnych. Udało mi się ubłagać urzędniczkę, żeby mnie dopisała do listy egzaminacyjnej. Nie miałam czasu na przygotowanie się. Mimo to, postanowiłam zaryzykować, chociaż od matury minęło kilka dobrych lat.

Czasy Uniwersytetu

Na wstępnym egzaminie z matematyki nie udało mi się rozwiązać prostych zadań, bo pozapominałam wzory, ale rozwiązałam najtrudniejsze zadanie z trzema niewiadomymi z trygonometrii, co niewielu się udało. Egzaminator był zdziwiony i powiedział:

„Ja nie rozumiem jak Pani się udało rozwiązać najtrudniejsze zadanie, podczas gdy z tymi prostymi Pani sobie nie poradziła.

Odpowiedziałam, że nie miałam czasu przygotować się do egzaminów, minęło prawie 7 lat od matury i zapomniałam te proste wzory, bo ich nie używałam. A w tym zadaniu cała rzecz polegała na logicznym myśleniu.

„W takim razie Pani sobie poradzi z nauką” brzmiała jego odpowiedź.

Po tygodniu miały być wyniki. Po tym, gdy nie mogłam znaleźć swojego nazwiska byłam przekonana, że oblałam.

Kiedy ostatecznie znalazłam swoje nazwisko, byłam trochę rozczarowana, ale w końcu doszłam do wniosku, że jedyną możliwością dla mnie jest skończenie studiów zaocznie, ponieważ muszę też pracować, a na medycynie której chciałam się uczyć, lub na inżyniera, trzeba być na normalnych studiach.

Zanim poszłam na uniwersytet, skończyłam dwuletnią szkołę księgarską w Warszawie. Jeździłam tam z koleżanką z pracy i kiedy przyjechałyśmy pierwszy raz nawet nie wiedziałyśmy jakich przedmiotów się uczymy, bo zaczęłyśmy naukę w połowie roku szkolnego.

Powiedziano nam, że trzeba napisać pracę. Zrozumiwałyśmy, że temat pracy to : „Dzieje książki”. Później okazało się, że to nazwa przedmiotu.

Napisałyśmy o dziejach książki i ja po przeczytaniu pracy mojej koleżanki pomyślałam, że Ona to ładniej napisała niż ja.

Następnym razem kiedy przyjechałyśmy do Warszawy nauczyciel powiedział: Temat pracy był inny ale napisałyście o dziejach książki, no to proszę do tablicy. Zawołał moją koleżankę i powiedział do niej:

„Zamiast napisać o dziejach książki, Pani napisała opowiadanie, tak, że Pani napisze jeszcze raz na ten temat”.

Z kolei zawołał mnie, a ja nawet się nie podniosłam z miejsca, tylko powiedziałam:

„Ja to samo”,

„O nie, powiedział, Pani napisała o dziejach książki, Pani nie potrzebuje pisać tego drugi raz”.

Nie wierzyłam swoim uszom, że to, co moim zdaniem było nieudane, okazało się właśnie dobre.

Lubiłam te wyjazdy do Warszawy, bo mogłam się spotkać ze swoją przyjaciółką Teresą, która mieszkała w Pruszkowie koło Warszawy. Program nauki był ciekawy. Żartowałam sobie z nauczycielami, którzy z chęcią się śmiali. Uważałam, że są takimi samymi ludźmi jak ja.

Pewnego razu weszłam do sali na egzamin, potknęłam się i wylądowałam na stole przed nauczycielem. Musiało to wyglądać bardzo śmiesznie, toteż się roześmiałam i powiedziałam: „To się nazywa dobry początek”. Bez trudności zdawałam wszystkie egzaminy, tak, że skończyłam tę szkołę bez problemów.

Mniej więcej co dwa lata kupowałam sobie jakiś mebel. Pierwszy mebel to było biurko, które umożliwiało mi wygodną naukę. Byłam szczęśliwa, bo nauką chciałam zapewnić sobie przyszłość, wiedziałam, że mogę liczyć tylko na siebie.

Pracowałam, jak już pisałam wcześniej, w KMPiK-u. Były tam książki w kilku językach. Szczególnie interesowały mnie książki z dziedziny sztuki. Naszymi klientami byli malarze, pisarze, dziennikarze, aktorzy, kompozytorzy, lekarze, adwokaci i różni inni ciekawi ludzie. Byli między innymi tacy, którzy regularnie przesiadywali w naszej klubowej kawiarni.

Od czasu do czasu były spotkania z ciekawymi ludźmi i wykłady. Było interesująco rozmawiać z nimi pod warunkiem, że nie byli pijani, bo i to się zdarzało.

W tym czasie kierowniczką księgarni, była Żydówka, która nie wiem dlaczego zawzięła się na mnie, bo prawie codziennie skarżyła się na mnie kierownikowi Klubu.

On sam mi powiedział, ponieważ bardzo mnie lubił i traktował mnie jak córkę, że Ona codziennie wchodzi do niego na swych krzywych nogach i skarży się na mnie.

” Coś Ty jej zrobiła” - pytał mnie.

Ona była nie tylko wielką intrygantką ale i złym człowiekiem. Robiła różne machlojki i mimo swojego nieuczciwego postępowania, postanowiła pozbyć się kasjerki. Zwróciła się do moich koleżanek w pracy o pomoc i one się zgodziły, nie mając pojęcia w czym rzecz.

Powiedziała im, żeby posłały do kasy pieniądze bez pokwitowania i żeby powiedziały, że później jej dadzą. Kasjerka kilka razy prosiła o kwitek i w końcu była tak zajęta, że zapomniała.

Pod koniec dnia kasjerka zaczęła przeliczać kasę i nie mogła zrozumieć skąd ma więcej pieniędzy. Ja nie wiedziałam o tym co było między kierowniczką i koleżankami i tylko stałam i słuchałam.

Przyszła kierowniczka i zwróciła się do kasjerki:

„Co? Kasa się nie zgadza? Ty kradniesz i to jest Twój koniec tutaj”.

Ja na to się odezwałam, że gdyby kasjerka chciała ukraść, to nie szukała by, skąd ma więcej pieniędzy, po prostu by je wzięła i powiedziała, że wszystko się zgadza w kasie.

Moje koleżanki milczały, dopiero potem mi powiedziały co się stało.

Strasznie mnie to zdenerwowało, bo kasjerka była uczciwym człowiekiem. Była sama z dzieckiem i ciężko pracowała na utrzymanie rodziny. Moje poczucie sprawiedliwości doszło do głosu i postanowiłam nie dopuścić do jej zwolnienia.

Po rozmowie z kasjerką, dowiedziałam się, o co chodzi w tej sprawie. Kasjerka wiedziała o różnych nieczystych interesach naszej kierowniczki i ta chciała się jej pozbyć.

Poszłam do Kierownika Klubu i opowiedziałam mu wszystko i oprócz tego zażądałam, żeby zrobiono zebranie z protokołem do Warszawy i Kierownik Klubu się zgodził. Powiedziałam mu, że na pewno nie chce mieć na sumieniu naszej kasjerki.

Zebranie się odbyło, ale wszyscy milczeli, tylko ja mówiłam i nic z tego nie wyszło.

Powiedziałam koleżankom, że wstydzę się za nie i poprosiłam znów Kierownika Klubu, że proponuję jeszcze jedno zebranie, tym razem z przedstawicielem z Warszawy.

Na drugim zebraniu moje koleżanki nareszcie zaczęły mówić, nie tylko ja i protokół poszedł do Warszawy razem z powiedzeniem naszej kierowniczkii :”Ja mam szerokie plecy możecie po nich zjeżdżać”.

W końcu zwolniono kierowniczkę, a kasjerka pozostała. Byłam szczęśliwa, że prawda zwyciężyła, chociaż miałam dużo pracy, bo dopóki nie było nowego kierownika ja prowadziłam księgarnię.

Za czasów naszej kierowniczkii, w ciągu trzech miesięcy posyłała mnie do piwnicy ze sznurkami porządkować książki. Był tam taki zaduch, że co pół godziny musiałam wyjść na powietrze, żeby nie zemdleć, ale tylko ja wiedziałam co tam jest i ile czego.

Była kierowniczkia przysyłała do ojca swoje znajome, które mówiły, że wygryzłam ją z pracy.

Pewnego dnia ojciec poprosił mnie, żebym napisała mu pismo na maszynie. Przyszłam do Klubu wcześniej, bo pracowałam w księgarni klubowej i zaczynałam pracę o 10-ej.

W biurze usiadłam przy maszynie do pisania i zaczęłam pisać ten list dla ojca.

Pamiętam, że siedziała tam jakaś obca kobieta a wokół niej wszystkie współpracownice. Kobieta ta wyglądała strasznie: brudna, zapłakana i rozczochrana. Niezbyt przysłuchiwałam się ich rozmowie, słyszałam tylko urywki i zrozumiałam z tego, że nie ma gdzie mieszkać, że kobieta u której mieszkała wyrzuciła ją z domu na ulicę i od trzech dni śpi na dworcu kolejowym i nie wie co ze sobą zrobić.

Każda ze słuchaczek po usłyszeniu jej opowiadania delikatnie jedna za drugą opuszczają pokój.

Mnie po prostu ogarnęła złość na ludzką obojętność i kiedy prawie wszystkie opuściły pokój, odwróciłam się w jej kierunku i powiedziałam po prostu:

”Jeśli Pani chce, to proszę zjawić się u mnie dziś o godzinie 6-tej wieczorem ze swoimi rzeczami”. Podałam jej mój adres na kartce papieru. Ona po prostu zaniemówiła ze zdziwienia, ale po chwili otrząsnęła się powiedziała :

„Czy Pani jest pewna, że jest Pani gotowa mnie przyjąć u siebie? Ja nie chcę, żeby Pani pożałowała swojego kroku”.

„To tylko zależy od Pani” odpowiedziałam.

O szóstej przyniosła ze sobą dwa worki, jeden z książkami a drugi ze swoimi szmatkami. W tym czasie moja przyjaciółka wyjechała na urlop z mężem i dziećmi i zostawiła mi klucze od swojego mieszkania. Postanowiłam zabrać ją tam bo w domu mogli mi zwrócić uwagę, że nie chcą obcych ludzi.

Ta kobieta była bardzo smutna a ja chciałam poprawić jej humor, więc zapytałam czy ma ochotę zagrać w brydża. Ona myślała, że ja mam ochotę i zgodziła się. Spotkałam znajomych po drodze i zaprosiłam ich również na brydża. Kupiliśmy coś do zjedzenia no i oczywiście oni przynieśli wódkę.

Zaczęliśmy grać i była bardzo miła atmosfera do momentu, kiedy ona wypiła trochę wódki. Widoczne zmęczenie zrobiło swoje i po tym, jak te trochę wódki na nią szybko podziałało i zaczęła dyskutować w kuchni z jednym z mężczyzn, a potem obraziła się na niego i poszła do drugiego pokoju. Chciałam tam wejść, ale On mnie zatrzymał i powiedział, żebym zostawiła ją w spokoju, bo ona jest w złym humorze. Pomimo to

postanowiłam wejść do pokoju i dobrze zrobiłam, bo ona w międzyczasie wdrapała się na okno które było wysoko i połowa jej ciała znajdowała się już na zewnątrz, a było to 7-me piętro.

Moją pierwszą reakcją było to, że ściągnęłam ją na siłę z okna po czym zaczęłam ją bić - musiałam wyładować całe napięcie w którym byłam. Przestałam, kiedy zaczęła płakać.

Natychmiast wysłałam wszystkich do domu, zostawiłam jedną koleżankę, która miała jej pilnować, bo ja chciałam umyć naczynia. Urszula, moja szkolna koleżanka, która później została aktorką, była wystraszona całą sytuacją i kiedy ta kobieta tylko się poruszyła na łóżku biegła do mnie ze strachem: „Ona się poruszyła”.

Do rana już nie spałyśmy i od razu poszłyśmy do pracy. Okazało się, że ta kobieta pracowała naprzeciwko Klubu. Po dwóch godzinach przyszła do mnie z prośbą, że bardzo chce jej się spać i żebym dała jej klucze od tego mieszkania. Z jednej strony bałam się dać jej klucze bo to mieszkanie nie należało do mnie, z drugiej strony chciałam jej okazać zaufanie, pomimo, że bałam się, że może spróbować znów popełnić samobójstwo. Musiałam szybko zdecydować, żeby nie czuła, że się waham.

W pracy koleżanki naskoczyły na mnie:

”Czy Ty wiesz kim ona jest?, może to prostytutka, może jednak popełni tam samobójstwo, może okradnie mieszkanie”.

Odpowiedziałam, że nawet jeśli jest prostytutką, to też jest człowiekiem i ma prawo do życia, bo nie wiadomo dlaczego nią się stała.

Prawdę mówiąc nie wierzyłam, że Ona nią jest, bo moja intuicja mi mówiła, że Ona jest w porządku.

Niepewność zaczęła mnie dręczyć i po dwóch godzinach poszłam tam pełna napięcia.

To Mieszkanie było bardzo blisko pracy. Dzwoniłam do drzwi i dzwoniłam bez skutku – nie było odpowiedzi. Wyobrażałam sobie ją martwą w wannie, próbowałam wachać czy nie czuć gazu. Byłam prawie w histerii ,aż otworzyła mi drzwi zaspana. Zapytałam ją jak się czuje. Uśmiechnęła się pod nosem i powiedziała mi:

„Może Pani być spokojna, ja zdaję sobie sprawę z tego co Pani dla mnie zrobiła i obiecuję, że nie będzie Pani miała ze mną problemów”.

Uspokoiliam się, ale jak wróciłam do pracy koleżanki znów zaczęły mnie przekonywać, że zrobiłam głupstwo. Ja byłam już spokojna. Następnego dnia wyjechała na urlop na dwa tygodnie i zostawiła swoje manatki w moim mieszkaniu, aż do powrotu. Mimo moich prób, nie udało mi się znaleźć dla niej mieszkania.

Wróciła z urlopu wcześniej rano, ale ja już byłam w pracy, a że mama spała jeszcze, ona czekała w korytarzu, aż mama się obudzi.

Kiedy mama wstała i zobaczyła, że ona tak cierpliwie czekała, postanowiła wziąć ją do siebie do jej pokoju. Pokój mamy był dość duży, (pomimo, że był zastawiony meblami).

Mama bardzo ją polubiła, okazała się porządną, miłą i sympatyczną osobą, miała duże poczucie humoru. Ja też bardzo ją polubiłam i zapoznałam ją z moimi znajomymi i przyjaciółmi.

Sytuacja była dość śmieszna, bo jeżeli ktoś chciał powiedzieć o mnie cokolwiek - np. że ja mam długi nos lub coś mniej pozytywnego, była gotowa temu komuś wydrapać oczy - mnie nie wolno było dotknąć.

Po roku znalazła sobie samodzielny pokój u jakiejś pani. Pamiętam kiedy ją odwiedziłam, zobaczyłam nad łóżkiem wisiał ogromny krzyż, chyba wysokości półtora metra. To zrobiło na mnie bardzo przygnębiające wrażenie a gospodyni nie chciała go zdjąć.

Kiedy myślę o cierpieniach, które przeszła później, mam przed oczami ten krzyż.

Ona postanowiła uzupełnić maturę. Nie był to dla niej zbyt duży wysiłek, bo była bardzo inteligentna. Była starsza ode mnie o kilka lat. Kiedy jakoś się urządziła i znalazła nowych przyjaciół - zachorowała.

Wszystko zaczęło się od bólu w kolanie. Lekarze szukali, szukali i nie mogli niczego znaleźć. W końcu stwierdzili, że ona jest hipochondryczką, bo badania niczego nie wykazały. Bóle były coraz silniejsze i w końcu wyładowała w szpitalu.

Okazało się, że miała raka, który umiejscowił się na kości miednicowej i naciskał na nerw prowadzący do kolana. Kiedy przyszedłam ją odwiedzić, skarżyła się, że nikt tam w szpitalu nie cierpi jak ona. Nie była w stanie wytrzymać tych bóli i krzyczała na cały szpital.

Zaczęto jej dawać Pantopan i potem Morfinę. Była młoda miała 32 lata i plany na przyszłość. Kiedy przychodziłam do niej, próbowałam ją przekonać, że wszystko będzie dobrze, że zrobi maturę i pójdzie na uniwersytet. Jak Ona chciała mi wierzyć, tak badawczo patrzyła na mnie czy ja wierzę w to co mówię.

Wiedziałam, że Ona nie ma już szans, ale nie zdradzałam tego. Wiedziałam, że nacierpi się jeszcze, aż rak wyniszczy jej zdrowy organizm. Po dwóch latach przewieziono ją do miejscowości gdzie mieszkał jej ojciec z macochą. Była z nimi niedługo.

Ostatnie trzy miesiące spędziła w domu dla psychicznie chorych, bo od bólu pomieszały się jej zmysły. Po prostu oszalała z bólu i tam zmarła.

Jak już wspominałam w miejscu gdzie pracowałam, miałam też kontakty z ludźmi związanymi z teatrem. W KMPiK-u mieliśmy remont. Pewnego dnia byłam w Supermarkecie i spotkałam tam dyrektora teatru, który bardzo ucieszył się na mój widok: „Och, jak to dobrze że Panią spotkałem, właśnie szukamy kogoś takiego jak Pani do przedstawienia „Maskarada” wg Lermontowa, daliśmy ogłoszenia do gazety, ale osoby które się zgłosiły zupełnie nie odpowiadają naszym warunkom”.

„Do Maskarady? Ja nawet mogę wystąpić bez maski” - zadrwiłam sobie na swój rachunek.

„Ja mówię zupełnie poważnie”- kontynuował.

„Gdybym nawet chciała, to mój kierownik nie wyrazi zgody, żeby nie było mnie w pracy, chociaż mamy remont”.

„Jeśli to zależy od niego, to mój przyjaciel, ja z nim porozmawiam”.

„To już lepiej ja z nim porozmawiam”- stwierdziłam i obiecałam mu, że dam mu odpowiedź.

Prawdę mówiąc byłam zdziwiona, że mój szef się zgodził, no i zaczęłam chodzić na próby. Wszystko mnie zawsze ciekawiło. Chciałam wiedzieć jak to jest za kulisami, no i miałam okazję zaspokoić swoją ciekawość. Poznałam atmosferę zakulisową w teatrze, trudno powiedzieć że byłam nią zachwycona. Tańczyłam na scenie z innymi statystami i z aktorami.

Moim partnerem był jeden z pracowników teatru. Tańczyliśmy walca na pochyłej scenie. Na generalnej próbie drżały mi wargi i nogi mi się trzęsły ze strachu.

Byłyśmy ubrane w białe długie suknie z dekolami, do włosów związanych w koński ogon miałyśmy doczepione loki i na oczach mieliśmy czarne maski. Mężczyźni byli w czarnych frakach.

Na premierze moje nogi już nie drżały, tylko wargi trochę. W pewnym momencie mój partner powiedział do mnie:

”Odleciał mi guzik ze spodni i czuję, że spodnie spadają ze mnie”.

Ja parsknęłam śmiechem i powiedziałam mu :

”Musimy kontynuować, ja Panu potrzynam spodnie” i nie przestając się śmiać przytrzymałam mu spodnie i tak tańczyliśmy do końca.

Moi znajomi i przyjaciele pytali się mnie, z czego ja tak się śmiałam, oczywiście im opowiedziałam. W sumie przetańczyłam 50 przedstawień. Otrzymaliśmy pierwszą nagrodę na festiwalu sztuk radzieckich.

W czasie występów było kilka komicznych sytuacji: pewnego razu jedna z aktorek nie zawiązała dobrze płóciennej halki która była pod sukienką i w czasie tańca halka zaczęła jej spadać. Każdy, kto tańczył koło niej próbował podnosić tę halkę, żeby nie spadła, bo aktorka mogła się w nią zaplątać a wtedy kilka par mogło upaść na scenie, bo tańczyliśmy w kółko i na pochyłej scenie.

Innym razem prawie wszyscy aktorzy, oprócz jednego, byli pijani i tylko on mówił za wszystkich, ponieważ pozostali pokładali się ze śmiechu. Czasami zza kulis rozśmieszało się aktorów. Bywało, że aktorzy, mylili się i nie w porę mówili swoje role, tak, że czasem wychodziły niedorzeczności. W sumie dla mnie było to nowe doświadczenie. Jedyną rzeczą której nie cierpiałam to, to coś w rodzaju smalcu, którym zcierałyśmy makijaż z twarzy.

Mama znów mieszkała sama. Pewnego dnia do klubu przyszła młoda dziewczyna, znajoma kogoś, nie pamiętam już kogo. Powiedziała, że nie ma gdzie mieszkać bo jej siostra mieszka dość daleko, a Ona ma tu pracę i w ogóle jest sierotą i mieszkała w sierocińcu. To było moje czułe miejsce. Powiedziałam jej, że zapytam mamę, dla której ważne było zarobienie paru dodatkowych groszy. Mama zgodziła się, po czym P., bo tak się nazywała, zamieszkała w pokoju z mamą.

W końcu mojego trzeciego roku na uniwersytecie mama poczuła się źle i zabrałam ją do szpitala. Po wyjściu ze szpitala poprosiła mnie, żebym pojechała z nią do Tychów, miejsca gdzie się urodziła. Dla mnie to było podejrzane, bo wiedziałam, że ludzie którzy czują, że mają umrzeć, zawsze chcą odwiedzić miejsce, gdzie się urodzili.

Nic oczywiście mamie nie powiedziałam, pojechałam z nią pociągiem i natychmiast wróciłam, bo miałam egzaminy. Po tygodniu przywiozłam ją do domu.

W międzyczasie miałam egzamin z „Rozwoju myśli ekonomicznej”, który był uważany za jeden z trudniejszych egzaminów i chodziły słuchy, że w pierwszym terminie zwykle 3 na 100 zdaje ten egzamin. Wiedziałam, że nie mam szans gdyż nie miałam czasu się przygotować, ponieważ mama była w szpitalu, a ja częściowo pisemnie przygotowałam materiał, ale w głowie miałam pustkę.

Postanowiłam jechać na 3-dniową wycieczkę z pracy, bo to było większą przyjemnością niż egzamin. Pojechaliśmy do wschodniej części Polski oglądać kwitnące sady.

Po powrocie z wycieczki poszłam na egzamin wiedząc, że go obleję, a że nie miałam w indeksie na razie żadnego oblanego egzaminu pomyślałam, że przyszedł czas na pierwszy,

Postanowiłam jednak oblać go z honorem.

Profesor się spóźnił i powiedział, że nie ma wiele czasu. Pierwsza ósemka wyleciała szybko, wszyscy oblali. Egzaminował po dwóch. Ja byłam w piątej dwójce.

Kiedy weszliśmy, dał każdemu temat na który mieliśmy odpowiedzieć. Moim tematem była : „Teoria produkcji netto u fizjokratów”, chyba do końca życia będę to pamiętać. Oczywiście powiedziałam mu od razu :

„Pan profesor powiedział, że się spieszy, tak, że szkoda pańskiego czasu na pytanie mnie. Prawdę mówiąc przygotowałam część tematu pisemnie, ale Pana nie interesuje dlaczego nie jestem przygotowana, tak, że proszę mi wpisać do indeksu niedostatecznie bo jeszcze tam nie mam żadnej takiej oceny.”

Profesor wysłał tego studenta który był ze mną za drzwiami, wydaje mi się, że z trójką, bo on pierwszy odpowiadał.

„Ja nie skończyłem Pani pytać” powiedział.

„Jeśli Pan chce ryzykować to proszę, ale szkoda Pańskiego czasu i mojego wstydu proszę mi wpisać do indeksu dwójkę i ja pójdę do domu, chciałam tylko zaznaczyć, że gdybym zupełnie się nie przygotowała, nie pozwoliłabym sobie przyjść na egzamin, ale przyznaję, że nie zdążyłam się tego nauczyć”.

„Ja Pani nie rozumiem” – odpowiedział. „Wszyscy próbują mnie błagać, żebym nie dał dwójki, lub żebym nie wpisał, próbują przysyłać rodziców, szukają protekcji w przeciwieństwie do Pani”.

„Jeszcze nie miałem takiej studentki jak Pani, nie wpiszę Pani dwójki”.

„Pan mi wpisze dwójkę, bo mi się należy”.

„Ja nie wpiszę”

„To co Pan zrobi?”

„Zaznaczę, że Pani się nie stawiała na egzamin”.

„No i co to da”.

„Bedzie Pani miała jeszcze jedną szansę, tylko mam do Pani prośbę, niech Pani nic nie mówi tym, którzy czekają na zewnątrz”.

„No dobrze” powiedziałam tak, jakbym robiła mu łaskę.

„Bardzo mi było miło Panią poznać”, powiedział całując mnie w rękę i odprowadzając do drzwi.

„Jestem przekonany, że następnym razem będzie dobrze”.

„To ja powinnam powiedzieć, a nie Pan”.

Wyszłam wstrzymując śmiech. Na korytarzu wszyscy mnie obstąpili z pytaniem jak mi poszło, odpowiedziałam, że oblałam.

„Ale dlaczego tak długo tam siedziałaś”.

„Rozmawialiśmy na różne tematy” brzmiała moja odpowiedź.

„Ale On z nikim nie rozmawia, pokaż swój indeks”.

„Co nie wierzycie mi, że oblałam? Oblałam i rozmawialiśmy na różne tematy”.

„Nie wierzymy Ci, On nigdy dotąd z nikim nie rozmawiał”.

„Nie chcecie, nie wiercie”. Odwróciłam się i poszłam do domu.

W zasadzie byłam bardzo zadowolona, chociaż nie zdałam egzaminu, ale najważniejsze było dla mnie, że moja duma nie ucierpiała.

Tydzień później spotkałam go w supermarkecie, byłam już w żałobie. Przywitał się ze mną, popatrzył na mnie i nic nie powiedział.

Po wakacjach, po przyjeździe na egzamin, zadał mi to samo pytanie: ”Teoria produkcji netto u Fizjokratów”. Tym razem znałam odpowiedź. Na drugie pytanie zaczęłam coś kręcić i On powiedział mi: „wystarczy”, dał mi stopień, podał mi rękę i pożegnał się ze mną.

Po wyjeździe mamy, postanowiłam pomalować jej pokój, żeby jej było przyjemnie, jak wróci do domu. Dywany oddałam do czyszczenia, ale nie zdążyłam ich jeszcze powiesić, kiedy mama wróciła. Mąż mojej przyjaciółki Alinki pomalował, a ja z P. posprzątałyśmy, no i pokój wyglądał jak powinien.

Kiedy mama wróciła do domu, zaprosiła ją jej siostra i dała jej dokładnie wszystko, czego jej nie wolno było jeść i robić. Po pierwsze gorącą kąpiel, potem zrobiła jej mocną kawę i dała jej kielbasę do jedzenia, a mama miała bardzo wysokie ciśnienie - do tego stopnia, że lekarzowi nie wystarczał aparat do mierzenia ciśnienia.

Kiedy mama wróciła od niej i weszła do mojego pokoju, zwróciłam uwagę, że lekko się zatacza, tak jakby miała zawroty głowy, dlatego od razu zabrałam ją do łóżka, bo bałam się, że upadnie.

Następnego dnia wstałam wcześniej, żeby poprasować swoje fatalaszki. Zaczęłam prasować, w tym czasie zwróciłam uwagę na dziwne stukanie w pokoju mamy. Trudno mi było uwierzyć, że wiesza dywaniki na ścianie. Postanowiłam wejść do niej za chwilę, ale po tym, jak usłyszałam, że coś ciężkiego upadło, zostawiłam prasowanie i pobiegłam do jej pokoju. Biedna, leżała na podłodze, nie mogła mówić, pół ciała miała sparaliżowane.

Zrozumiałam, że stukała w przeciwną ścianę, żeby przysła, a ja myślałam że Ona coś wiesza.

Natychmiast podłożyłam jej poduszkę pod głowę. Ona spadła z łóżka, bo posiusiała się w łóżku i nie mogła ścierpieć pozostać w nim. Zadzwoiłam natychmiast po pogotowie, zbudziłam Jaśkę, żeby mi pomogła przenieść mamę na tapczan.

Mama uspokoiła się, a ja posprzątałam trochę i zaczęłam mówić do niej, żeby się nie martwiła, bo ja jej samej nie zostawię i będę się nią opiekować.

Przyjechało pogotowie, żeby ją zabrać, pytałam lekarza o jego zdanie, ale on dał mi znak, że stan jest bardzo ciężki.

Pojechałam z nią do szpitala w Siemianowicach. Po drodze przyglądała się drzewom, które widziała przez okno ambulansu. Tam w szpitalu przeniesiono ją do pokoju, a ja poszłam załatwiać formalności. W windzie spotkałam znajomego z Klubu któremu dostarczałam książki. On również leżał tam w szpitalu i powiedział mi, żeby się nie martwiła, bo jego żona jest dyrektorem tego szpitala i On sam postara się, żeby mama dostała najlepszą możliwą opiekę.

W czasie kiedy załatwiałam formalności, zawołano mnie, że mama chce ze mną rozmawiać. Pobiegłam do pokoju w którym leżała, a Ona uśmiechnęła się do mnie i powiedziała mi, żeby nie przyjeżdżała do niej codziennie, bo ja mam egzaminy.

Odpowiedziałam, że następnego dnia na pewno przyjadę bo jest niedziela. Załatwiłam formalności i zostałam trochę z nią, ale przyszli lekarze i posłali mnie do domu.

Następnego dnia przyjechałam, ale powiedziano mi, że mama dostała środki nasenne i śpi. Zdziwiłam się tylko, jak lekarka opatrzyła jej rany odleżynowe jakie miała na siedzeniu, bo nie chciała zrobić swoich potrzeb w łóżku i leżała na basenie. Rany były nie do uwierzenia, że mogły powstać w ciągu jednej nocy. Nie wiedziałam, że Ona jest w agonii.

Wszyscy w pokoju patrzyli na mnie z litością i powiedzieli mi, że mama opowiedziała im moją historię poprzedniego wieczora. Powiedzieli mi też, że mama powiedziała, że chce żyć jeszcze tylko dla mnie.

Mój znajomy siedział przy niej do nocy i on też słyszał całą historię.

Następnego dnia wstałam wcześniej rano, bo mama przedtem zaczęła robić wino i chciałam skończyć to, co zaczęła. Naraz zadzwonił telefon. Poderwałam się ze złym przeczuciem. Rzeczywiście dzwonił mój znajomy ze szpitala. Powiedział, że mama czuje się gorzej i żeby przywiozła jej dowód osobisty i jeszcze jakiś dokument już nie pamiętam jaki.

„W jakim celu potrzebny jest dowód osobisty?” pytałam.

„Ponieważ ma być przeprowadzone jakieś badanie, proszę natychmiast przyjechać”.

Powiedziałam, że będę tam jak najszybciej. P. Po usłyszeniu całej rozmowy postanowiła jechać ze mną.

Wzięłam, co mi polecono i pojechaliśmy.

Kiedy przyjechaliśmy na miejsce i weszliśmy na piętro gdzie mama leżała, w korytarzu stały trzy parawany stojące obok łóżek. Od razu zrozumiałam co się stało. Weszłam za parawan i zobaczyłam moją biedną mamę z twarzą powleczoną warstwą pleśni i z odrobiną zielonej śliny w kącie jej ust.

Pocałowałam ją w czoło i wyszłam. Usiadłam i czułam mocne bicie serca. P. Kiedy popatrzyła na mnie, przestraszyła się i powiedziała :

”Tylko Ty mi nie umrzyj”.

Poleciała po pielęgniarkę, żeby mi dała coś na uspokojenie.

Potem mnie zawołano i dano mi obrączkę i pierścionek mamy. Tyle z niej zostało.

Biedna mama zmarła taka młoda miała niecałe 56 lat.

Staszek zmarł na zawał serca dwa lata po śmierci mamy.

Po powrocie do domu, zadzwoniłam do siostry mamy, żeby zawiadomić ją o śmierci mamy.

Ona naskoczyła na mnie, dlaczego jej nie powiedziałam, że mama jest w szpitalu.

„Może mama chciała zostawić mi coś w spadku” powiedziała.

„Niech ciocia powie co chce, ja cioci dam” odpowiedziałam.

„Daj mi coś, czego nie potrzebujesz”.

„Czego ja nie potrzebuję, ciocia też nie potrzebuje, niech ciocia powie co chce i już”.

Umówiłam się z nią żeby pójść do banku, gdzie mama miała oszczędności.

W banku poszłam do dyrektora i powiedziałam mu jaka jest sytuacja, że muszę zamówić trumnę i zrobić pogrzeb i nie mam grosza. Pokazałam świadectwo zgonu mamy.

Dyrektor powiedział, że nie wolno mu dać pieniędzy bez wyroku sądowego, bo może prócz mnie są jeszcze spadkobiercy. Powiedziałam mu, że nie ma i że jest tu ze mną siostra mamy i ona może potwierdzić.

„Dobrze, ja chcę Pani pomóc, ale jeśli się okaże, że jest coś nie w porządku, to ja pojde do więzienia, ja się narażam” powiedział.

„Może Pan być spokojny wszystko będzie w porządku”.

Ciekawe, wydaje mi się, że nawet nie podziękowałam mu za to, że pominął biurokrację. Dał mi pieniądze, które ledwie starczyły na trumnę, pogrzeb i pomnik, który jej postawiłam. A siostra mamy była bardzo zdziwiona, że mama miała tak mało pieniędzy.

Nie wiem dlaczego nie pamiętam jej pogrzebu, chyba dlatego, że chciałam ją zapamiętać żywą, ale pamiętam, że zorganizowałam w domu skromną stypę bez wódki. Przyszedł Edek i rozzłościł się, że nie ma wódki, ale ojciec go ustawił na miejsce.

Powiedziałam Edkowi, że śmierć mamy to nie powód do radości i wódki nie będzie.

Po pogrzebie zaczęły się dla mnie bardzo ciężkie dni. Prawie codziennie przychodził Edek i zabierał coś z rzeczy mamy. Dla mnie te rzeczy nie miały znaczenia, bo nie mogły przywrócić mamy. Po zabranii większości rzeczy, Ojciec powiedział, że rzeczy mamy są moimi i ja mogę decydować co z nimi zrobić. Edek chciał pościel - poszłam do szafy, wyjęłam całą półkę i dałam mu, a potem przychodził z pretensjami, że większość była dziurawa.

Mama nie miała nowej pościeli, a co miała to mu dałam. Potem dałam mu srebrne łyżki, a ojciec zdenerwował się i postanowił, że na tym będzie koniec.

Teraz ojciec z Jaśką chcieli wyrzucić P. Na co ja się nie zgodziłam. Powiedziałam, że nie dam wyrzucić sieroty, P. zostanie i już.

Krótko po tym, przeprowadziliśmy się na pierwsze piętro w tym samym domu. Tam był inny układ mieszkania. Wszystkie pokoje wychodziły z tego samego korytarza. Ja dostałam pokój blisko drzwi wejściowych, a że był nad brama wejściową, był bardzo zimny. P. dostała mały pokój od podwórka.

Mam kilka przyjemnych wspomnień z czasów Uniwersytetu. Miałam przyjaciółkę, Gienię, z którą uczyłyśmy się razem. Gienia mieszkała w Kozłowej Górze, za daleko, żeby po wykładach wracać do domu. Wykłady były przez dwa dni w miesiącu: sobotę i niedzielę po 12 godzin, tak, że kończyły się późno, więc Gienia zostawała u mnie na noc.

Uczyłyśmy się też razem. Kiedyś do egzaminów przygotowywałyśmy się u niej. Pamiętam ogromną pierzynę pod którą spałam bo to było zimą. Pamiętam również, że śmiałyśmy się ze wszystkiego. Jej rodzina przyjęła mnie bardzo ciepło i serdecznie, czułam się tam bardzo dobrze. Wydaje mi się, że sympatia była wzajemna.

Po 12 godzinach wykładów, chociaż byłyśmy zmęczone, szłyśmy do kina, albo kiedy byłyśmy głodne, to na kolację do „Klubu Pracy Twórczej”, który był w pobliżu.

Prawie każdy z wykładowców miał swojego bzika. Ważne było wiedzieć, który bzik należy do kogo.

Profesor od filozofii, nie przepuścił na egzaminie żadnej studentki, która nie była ubrana na niebiesko. Ja oczywiście nie wiedziałam o tym i przyszłam ubrana w co miałam. Pan profesor zapytał mnie : „Od jakich słów zaczyna się „Kapitał” Marksa”.

Na powtórny egzamin kupiłam sobie specjalnie na tę okazję niebieską sukienkę (nie mój kolor) i zdałam bez problemu.

Jedna z profesorek była starą panną, u niej każdy mężczyzna, nawet jak nic nie wiedział, zdał, a kobieta jak była zadbana i umalowana nie miała szans, jedynie w wypadku gdy budziła litość swoim wyglądem, wtedy jej szanse wzrastały.

Inny profesor miał zeza, na moje nieszczęście nie uprzedzono mnie, że nie wolno patrzeć mu w oczy. Na egzaminie siedziało nas 6 osób i ja odpowiedziałam prawie na wszystkie pytania, na które inni nie odpowiedzieli. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego On się kręci i opuszcza oczy. Nie rozumiałam też znaków jakie mi dawano. W końcu dał wszystkim dostatecznie, a do mnie powiedział:

„Właściwie powinienem odesłać Panią na następny termin, ale nie zrobię Pani tego”.

Kiedy wyszliśmy, wszyscy stwierdzili, że przecież to tylko ja odpowiedziałam na wszystkie pytania i właściwie ich powinien był wyrzucić, a mnie dać dobry stopień, bo oni nic nie wiedzieli. Pękałam ze złości na niego, ale tego samego wieczoru zemsta była słodka.

Poszliśmy z Gienią do „Klubu Pracy Twórczej” na kolację. Siedzieliśmy przy długim stole, przy którym siedziało dość dużo ludzi, tylko dwa miejsca naprzeciwko nas były wolne. W pewnym momencie usiadła tam jakaś para. Nie zwykła para, tylko nasz zezowaty profesor z jakąś bardzo piersiastą panią, która ciągle narzucała na niego wspomnianą obfitą część ciała. Kiedy zobaczył, kto siedzi naprzeciwko, zarumienił się i próbował jej wytłumaczyć, że muszą zmienić miejsce, ale Ona była bardzo zadowolona ze swojego miejsca, a myśmy z Gienią śmiały się w głos.

Na wykładzie ze statystyki byłam tak zmęczona że nie miałam siły podnieść głowy, żeby przepisać z tablicy ćwiczenie, które nasz asystent rozwiązywał na tablicy i rozwiązałam to ćwiczenie w zeszycie. Kiedy skończyłam, zauważyłam ze zdziwieniem, że mam inny wynik. Jeszcze raz spróbowałam i otrzymałam ten sam wynik co przedtem.

Popatrzyłam na tablicę i znalazłam błąd który zrobił nasz asystent.

Podniosłam rękę i powiedziałam, że jest błąd na tablicy. Wszyscy byli już zmęczeni i prawie zasypiali na lekcji, ale w tym momencie ożywili się i ucieszyli, że znalazłam błąd u asystenta którego nie cierpieli. Nasz asystent myślał, myślał i stwierdził, że on to zrobi jeszcze raz w domu. Wszyscy byli szczęśliwi, że udało mi się go złapać na czymś. Od tego czasu, jak na lekcji podnosiłam rękę, wyczuwało się, że nasz asystent był w napięciu.

Pamiętam, że na początku roku wszedł do klasy i warczał na nas:”Ha, nie chce się wam uczyć,prawda?”.

Ja odpowiedziałam:

„Nie jest Pan zbyt sympatyczny jak na wykładowcę i nieładnie tak się odnosić do dorosłych ludzi, są między nami starsi od Pana”.

„A Pani się nie boi matematyki?”.

„Nie boję się, bo lubię matematykę”.

„Ale matematyków Pani nie lubi”.

„Dotychczas wszystkich lubiałam, ale wydaje mi się, że teraz Pan będzie wyjątkiem”.

Koledzy powiedzieli mi, że się mu dobrze naraziłam.

Na pierwszym egzaminie usiadłam u niego w pierwszej ławce, ale on mnie natychmiast przesadził do ostatniej ławki i powiedział.

„U mnie nie uda się Wam ściągać, ja też byłem studentem”.

„Też?” zaironizowałam.

Zachował się, jakby nie słyszał.

A ja właśnie czegoś nie wiedziałam i ściągnęłam, ale w moim kierunku on nawet nie popatrzył.

Na pierwszym egzaminie u profesora, jak skończył pytać naszą trójkę wszedł nasz Asystent a Profesor powiedział: „Pani wiedziała najwięcej tak, że Pani otrzyma „dobrze” a panowie otrzymają „dostatecznie”.

Asystent zwrócił się do profesora i powiedział:

„Ta Pani jest najlepsza w mojej grupie”.

Następnym razem przyszedłam na egzamin do profesora, ale byłam chora i z gorączką. Nasz asystent jak mnie zobaczył powiedział mi, żebym natychmiast poszła do domu, bo w takim stanie nie mogę iść na egzamin.

Ja mu odpowiedziałam :

„Ja odkładałam tylko miłe rzeczy, a na egzamin pójdę”.

„Ja nie dam Pani wejść na egzamin w tym stanie”.

„Pan nie jest w stanie mnie zatrzymać, tutaj ja decyduję”.

Oczywiście weszłam na egzamin i choć trudno mi było się skoncentrować odpowiedziałam na większość pytań.

Profesor powiedział:

„Po Pani spodziewałem się więcej niż dostateczny, coś się stało?”

Nasz asystent powiedział:

„Tak, ta Pani jest chora, ma gorączkę mówiłem żeby poszła do domu, ale Ona uparła się zdawać”.

Profesor powiedział:

„O co chodzi, ta Pani zdała egzamin”.

„Tak jest najlepszą w mojej grupie i dostała „dostateczny”.

Byłam tak zdziwiona, że zaniemówiłam na chwilę. Pomimo, że źle się czułam, chciało mi się śmiać.

Kiedyś wyjaśniał nam jakiś nowy temat, chyba różniczki nie pamiętam. Kiedy skończył, ktoś kto siedział za mną powiedział mi dowcip i ja parsknęłam śmiechem. Widocznie myślał, że śmiejemy się z niego i powiedział:

„Widzę, że niektórym jest tu bardzo wesoło, zobaczymy czy tak wesoło będzie przy tablicy? No, kto przyjdzie na ochotnika?” - powiedział patrząc wyzywająco w moim kierunku.

Koleżanka która siedziała koło mnie powiedziała:

„Podnieś rękę, pokaż mu co potrafisz!”.

Podniosłam rękę, a On ze zdziwieniem powiedział:

„Proszę, proszę bardzo, niech Pani narysuje kreskę ułamkową”.

Napisałam $Y=$ i narysowałam kreskę ułamkową i zapytałam czy wystarczy.

„Wystarczy, Pani zgłosiła się dobrowolnie”.

Rozwiązałam ćwiczenie szybko bo było bardzo proste.

Tablica była dłuższa niż podium, które było przy tablicy i jak on zaczął tłumaczyć, co zrobiłam na tablicy i szedł naprzód - ja cofałam się do tyłu. W pewnym momencie skończyło się podium i straciłam równowagę. Zaczęłam machać rękami i jakoś udało mi się nie upaść. On stał jak zamurowany i nie wiedział co robić.

Powiedziałam mu:

„Pan to by to by tonącemu nawet szklanki wody nie podał”- odwróciłam się i poszłam na swoje miejsce.

Koniec Nauki, Nowa Praca.

To było wcale niełatwe pracować, ucząc się jednocześnie. Wstawałam o 3-ciej rano, uczyłam się do 6-tej a potem szłam do pracy. Pracowałam teraz w Biurze Projektów Przemysłu Węglowego. Rano tramwaje były obwieszone jak winogrona, tak, że lepiej było iść pieszo. Zimą było trudniej jak padał deszcz lub śnieg, ale jak trzeba to trzeba.

Ranne godziny nauki były najlepsze, bo wystarczyło mi przeczytać raz i zapamiętać co trzeba. Moi koledzy na uniwersytecie czasami mówili mi, że mnie łatwo jest się uczyć.

Kiedyś przed egzaminami nie wiedzieliśmy czegoś i powiedziałam :

„Dajcie mi szybko książkę”- wzięłam i przeczytałam ten odcinek który nas interesował i powiedziałam:

„To proste”- i wytłumaczyłam, co chcieli wiedzieć. Na to ktoś zwrócił uwagę:

„No jak Tobie wystarczy raz przeczytać, to Ty możesz się uczyć, masz żydowską głowę”- było to powiedziane z nutą zazdrości.

W ogóle uczyłam się tylko wtedy, kiedy wystarczyło mi raz przeczytać. Kiedy nie rozumiałam o co chodzi, odkładałam książkę i szłam na spacer. Najgorzej było, gdy musiałam się uczyć tego, co mnie nie interesowało. Wtedy, gdy po 15 minutach czułam, że chcę spać i zdążyłam położyć się na tapczanie, to tam zasypiałam natychmiast. Zdarzało mi również się zasnąć, z głową na biurku. A muszę przyznać, że większość materiału była dla mnie nieciekawa a przynajmniej działała jak środek nasenny. Uczyłam się po pracy, czasami w płaszczu i rękawicach, bo mój pokój był bardzo zimny.

W warsztacie u ojca pracowała wnuczka jego siostry. Prosiłam ją, że ja przygotuję podpałkę w moim kaflowym piecu, a ona tylko zapali zapalkę i po półgodzinie zamknie piec, za odpowiednią zapłatą. Kiedy wróciłam do domu stwierdziłam, że piec jest zimny. Zauważyłam, że była zapłakana i na moje pytanie:”Co się stało?” jej odpowiedź brzmiała, że ojciec wyjaśnił jej, że najpierw ma zapalić we wszystkich innych piecach a dopiero na końcu w moim.

Poszłam do niego i podziękowałam za pomoc. Musiałam się uczyć w zimnym pokoju, bo gdybym podpałki po powrocie, groziło mi zatrucie gazami z pieca.

Czasami miałam gości w domu i wtedy dokładnie o 10-ej wieczorem, wysyłałam wszystkich do domu, ponieważ musiałam wstać wcześniej rano, żeby kontynuować naukę.

Pewnego wieczoru P. Nie mogła się wykąpać, ponieważ Jaśka siedziała w łazience ponad godzinę, nie odpowiadała na pytania i nie otwierała drzwi.

Ja już spałam i P. ostrożnie próbowała mnie obudzić, ale ja skoczyłam na równe nogi :

”Co się stało?”- zapytałam. P. powiedziała mi, że nie wie co się stało z Jaśką.

Pobiegłam do łazienki i też zapukałam, a jak nie było odpowiedzi, szarpnęłam z całej siły drzwi, aż się otworzyły. Jaśka leżała naga na piecu elektrycznym, na jej szczęście zimnym, ale była nieprzytomna. Natychmiast zadzwoniłam po Pogotowie, które przyjechało. Została ocucona z poleceniem pozostania w łóżku na dwa dni. Ojciec nawet nie wstał z łóżka, żeby zobaczyć co się stało. Spokojnie czytał sobie gazetę.

Wieczorem ojciec przyszedł do mnie, żebym zrobiła mu herbatę, bo On nie wie jak się robi.

Z P. miałam od czasu do czasu problemy, bo często się upijała. Ja byłam zajęta nauką na uniwersytecie i nie mogłam równocześnie jej pilnować. Byłam dla niej tą złą ciotką, która na nic nie pozwala. Czasami było jej z tym wygodnie, bo jak czegoś nie chciała, to mówiła: "Hanka mi nie pozwala".

Prawdę mówiąc od czasu do czasu interweniowałam w jej życie prywatne, dla jej dobra, lub kiedy przekraczała granice. Nieraz zdarzało się, że się spiła i nie pamiętała co robiła.

Jeśli był u niej w takich przypadkach jakiś kawaler i miał nadzieję spędzić z nią noc, brałam go na stronę i pytałam czy Ona jest dla niego ważna i czy chce, żeby po spędzonej z nim nocy, rano, żałowała tego co zrobiła, lub w ogóle nie pamiętała co i z kim robiła.

Zwykle udawało mi się wysłać kawalera do domu, a jak jej powiedziałam, że go posłałam, to czasami próbowała mnie bić. Rano przychodziła ze skrucą, przepraszała i dziękowała mi za to, że chłopaka posłałam do domu i mówiła : "Co ja bym bez Ciebie robiła".

Nie było to zbyt przyjemne, ale było mi jej żal.

Kiedyś ojciec zwrócił mi uwagę na temat jej prowadzenia się, a ja mu odpowiedziałam:

„O moralności mają najwięcej do powiedzenia ci, którzy nie mają z nią nic wspólnego. Lepiej niech ojciec rozejrzy się dookoła siebie”- dodałam mając na myśli Zygmunta i Jaśkę.

Po tym, jak skończyłam uniwersytet, P. bardzo żałowała, że nie wpłynęłam na nią, żeby też poszła się uczyć. Może rzeczywiście to moja wina, ale ja uważałam, że żeby pracować i uczyć się trzeba samemu bardzo chcieć.

O zamażpójsciu nie myślałam po doświadczeniach wyniesionych z domu. Bałam się, że może mi się coś podobnego przydarzyć. Mój stosunek do mężczyzn był negatywny.

Byłam bardzo złośliwa w stosunku do mężczyzn, uważałam, że wszyscy są podli. Nie straciłam wiary w to, że są dobrzy ludzie, ale nie byłam w stanie zaryzykować.

Uczyłam się, bo chciałam zapewnić sobie przyszłość i chciałam być niezależna. Nie chciałam być jak mama - bez zawodu i zależna od męża.

To, że chciałam być zawsze przykładem i najlepszą, wprowadziło mnie w pułapkę, którą sama sobie zgotowałam, ponieważ ludzie przy mnie mieli kompleksy. Musiałam zejść kilka szczebli z bycia naj.... i kiedy to robiłam, wrócili do mnie moi przyjaciele i już nie byłam sama.

Pewnego dnia ojciec wszedł do mojego pokoju z lodami w ręku :
"Przyniosłem Ci lody"- powiedział. Ja byłam w tym momencie zajęta szyciem na mojej maszynie do szycia. Na moje pytanie: „ Co się stało?” odpowiedział:
„Bardzo lubiłaś lody, kiedy byłaś dzieckiem”.

Pamiętam go stojącego koło szafy z lodami, było to coś nieprawdopodobnego.

Pomyślałam, że widocznie ma wyrzuty sumienia i czuje bliską śmierć. Nie myliłam się, bo po dwóch dniach poczuł się źle i nie chciał jeść kolacji. Jaśka zadzwoniła po lekarza, lekarz zbadał ojca i polecił mu następnego dnia zrobić badania w Przychodni.

Napisał mu jakie badania potrzebuje. Lekarz nie zdążył wyjść z pokoju, kiedy ojciec zaczął rzeźnić i pomimo prób lekarza w uratowaniu go, ojciec zmarł pod jego rękami.

Teraz dla Jaśki zaczął się ciężki okres. Edek zaczął znów przychodzić codziennie i zabierać rzeczy ojca, szczególnie te, które można było spięnieżyć, np. akordeon i inne rzeczy. Edek był jak hiena - tam gdzie były trupy on był pierwszy, żeby zabrać wszystko co się da.

Jaśka na jej szczęście nie była sama. Jeszcze za życia ojca, syn jego siostry wyszedł z więzienia. Miał On żonę, która miała duże wymagania i On, żeby je zaspokoić zrobił tam jakieś nadużycia i wylądował w więzieniu. Kiedy wyszedł stamtąd, żona już nie chciała go, bo znalazła sobie innego w czasie jak on siedział. Ojciec go przyjął do domu a On skwapliwie mu pomagał w spełnianiu małżeńskich obowiązków w stosunku do Jaśki.

Ojciec wiedział o tym, ale milczał, widocznie było mu tak wygodnie, z młodą żoną, która o niego dbała. Moim zdaniem było to jego pokutą, za jego postępowanie w stosunku do mamy. Romans Zygmunta, bo takie było jego imię z Jaśką był nieunikniony, bo ojciec był starszy od Jaśki o 28 lat a Zygmunt był w odpowiednim dla niej wieku.

Ojciec był wielkim egoistą, myślał tylko o swojej wygodzie, a w sytuacji która powstała, nie chciał zrezygnować z usług Jaśki.

Moje studia trwały sześć lat. Zaczęło studia, nie pamiętam dokładnie - chyba 400 osób, najwięcej odpadło po pierwszym roku, a z tych, którzy zaczęli w pierwszym terminie doszło do końca po sześciu latach około 10-ciu i ja między nimi. Inni mieli przerwy lub zrezygnowali.

Nad pracą magisterską pracowałam rok, zrobiłam tłumaczenia z pięciu języków. Mój temat był, nie pamiętam dokładnie, ale o „Szkodach górniczych na powierzchni”. Za pracę dostałam ocenę „bardzo dobrą” tak, że końcowa ocena moja była dobra. Mój profesor był bardzo ze mnie zadowolony. Po obronie ściskał mi ręce i powiedział, że to była dla niego wielka przyjemność, moja obrona i że moja praca jest bardzo pożyteczna, bo już czekają na nią.

Miałam w końcu dużą satysfakcję za swój wysiłek.

Ojciec przyszedł na rozdanie dyplomów z kwiatami dla mnie. Jego synowie tego nie osiągnęli. Staszek zaczął naukę ale na pierwszym roku zrezygnował, a mnie, tej przybłędzie udało się.

Miałam dużo przyjaciół, którzy mi pomagali, kiedy tego potrzebowałam. Alinkę poznałam w czasie gdy pracowałam jeszcze w Klubie, zachorowałam na zapalenie stawów i leżałam w szpitalu.

Pewnego dnia do Klubu przyszedł znajomy lekarz z którym przyjaźniłam się, przypadkowo też Żyd i jak opowiedziałam mu jakie mam silne bóle w udach, wysłał mnie do szpitala, gdzie spędziłam około miesiąca. I tam właśnie poznałam Alinkę.

Zaprzyjaźniłyśmy się od razu i jesteśmy w kontakcie do dziś. Kiedy chorowałam, Alinka przysyłała mi z drugiego końca miasta swoją córkę, Ilonię z jedzeniem dla mnie. Kiedy odwiedzałam ją, w czasie kiedy Ilonia była jeszcze dzieckiem, mała bawiła się ze mną z radością i nie odchodziła ode mnie, póki nie poszłam do domu.

Czasami Alinka przychodziła w czasie gdy się uczyłam i mówiła :”Trzeba wyprać Twoje firanki”. Zdejmowała je i po kilku dniach przynosiła wykrochmalone i wieszała. „Ty musisz się uczyć” mówiła. Ja też próbowałam się jej zrewanżować jak mogłam.

Krystynę poznałam jeszcze w szkole podstawowej, byłyśmy w tej samej klasie. Ta przyjaźń również przetrwała do dzisiaj. Pamiętam, jak przychodziłam do jej domu którego atmosferę bardzo lubiłam. Jej mama była bardzo serdeczną osobą. Kiedy mówiła do swoich dzieci - bo Krystyna miała jeszcze siostrę i brata - to ja się odwracałam, bo miałam zawsze łzy w oczach i nie chciałam się zdradzić, że mnie to tak wzrusza.

Ojciec Krystyny był bardzo spokojnym człowiekiem mało mówił. Pamiętam jak raz chciał otworzyć szampana, a ja bałam się odgłosów wybuchu i cała się spociłam, aż udało mu się go otworzyć.

To był taki mój zastępczy dom, który pomagał mi wierzyć, że są normalne małżeństwa i normalne rodziny.

Myszka, żona aktora, miała dwoje dzieci i mieszkała blisko, tak, że jej dom był też moim domem. Czasem w wigilię bywałam u niej, czasem u Krystyny. Również po wigiliu w domu, szczególnie kiedy moim braciszkom udało się zepsuć wigilię. Bywałam wtedy u niej lub u Krystyny.

Miałam też cichego adoratora, który wystawał pod oknem Klubu w czasie gdy tam pracowałam.

Potrafił wystawać tam bardzo długo i patrzeć na mnie. Czasami wchodził i kupował jakąś książkę, a czasami po prostu próbował nawiązać ze mną rozmowę.

Moje koleżanki mówiły: zobaczysz On Ciebie kiedyś zaprosi do kawiarni. Powiedziałam im, że ja nie pójdę. Ale było coś w nim, co mi nie dawało spokoju i wiedziałam, że jak mnie zaprosi, nie będę w stanie mu odmówić.

Pewnego dnia przyszedł i powiedział, że czeka na mnie w Bristolu i zaprasza mnie na obiad. Chciałam mu odmówić, ale powiedziałam : „Dobrze, przyjdę”. On nie był tam sam, bo było chyba z 10 osób, sami mężczyźni, tylko ja jedna żeńskiego rodzaju.

Trochę niezręcznie się czułam, ale jakoś się wciągnęłam w ogólną rozmowę. Ktoś się zapytał, czy ciepło u mnie w domu, powiedziałam, że nie, bo nie mam węgla. Nie wiem dlaczego tak szczerze to powiedziałam, a mój znajomy powiedział „Słyszeliście Hanka nie ma węgla”. Myślałam, że to żarty.

Następnego dnia przywieziono mi tonę węgla, którą sama zrzuciłam do piwnicy. Nie mogłam zrozumieć, jak to się stało. Kiedy przyszedł następnym razem, powiedziałam, że chcę zapłacić za ten węgiel. Powiedział mi, że nie wie, który z jego kolegów mi go przywiózł i że nie trzeba, bo ci koledzy są dyrektorami kopalń i dla nich to żadna fatyga.

Czułam się bardzo niezręcznie i kiedy znów mnie zaprosił na obiad bardzo uważałam, żeby nie palnąć czegoś niepotrzebnie.

Te spotkania ciągnęły się chyba ze dwa lata. Był rozwiedziony i czasami przychodził z córką, która mnie bardzo polubiła.

Miałam co do niego nieprawdopodobną intuicję. Czasem nie mówił mi, że przyjdzie ale śnił mi się, budziłam się i mówiłam sama do siebie: On tu będzie o 10-iej rano i dokładnie o 10-iej słyszałam dzwonek i On był w drzwiach.

Pewnego razu powiedział, że będzie u mnie rano. Wstałam rano, zaczęłam prasować – miałam przecucie, że nie przyjdzie. Zadzwoił o 2-giej w południe, że musiał zabrać swoją mamę do szpitala. Powiedziałam mu, że wiedziałam, że nie przyjdzie.

Kiedyś powiedziałam :”Moim zdaniem powinieneś wrócić do żony, chociażby dla Twojej córki”.

On mi odpowiedział :

”Czy Ty nigdy nie chcesz mieć czegoś dla siebie, zawsze musisz myśleć tylko o innych?”.

Ale posłuchał mnie i ja byłem bardzo zadowolona. Wiedziała, że i tak to nie ma sensu, był starszy ode mnie o 17 lat i był już 3 razy żonaty.

Kiedyś byłem miesiąc bez pracy, bo zwolniłam się z Klubu i załatwiłam sobie pracę w Polskich Liniach Lotniczych. Umówiłam się co do warunków, ale kiedy przyszłam tam do pracy powiedziano mi, że nie dostanę tych warunków. Obraziłam się i poszłam i tak zostałam bez pracy.

Mojego adoratora nie widziałam bardzo długo. Pewnego dnia zapukał do moich drzwi i powiedział :

”Przepraszam, że Cię nie uprzedziłem, że przyjdę, ale czułem, że mnie potrzebujesz”.

Powiedziałam mu, że jestem bez pracy. Powiedział: nie martw się, dam Ci znać i po dwóch dniach zadzwonił telefon, żebym się zgłosiła do pracy.

Zacząłem pracować w spółdzielczosci, nie pamiętam dokładnie nazwy tej instytucji. Zorganizowano tam Ośrodek Informacji Usługowej - mam nadzieję, że nie mylę się w nazwie. Zadaniem Ośrodka była reklama usług spółdzielczych. Organizowałam reklamę w kinie, na plakatach, no i pokazy mody. Pracowały tam ze mną dwie miłe kobiety: jedna mężatka Krysia i druga, panna - Danusia. Obie ładne, wysokie i bardzo miłe.

Jak nasz kierownik nie był na pokazach, to wszystkie trzy byłyśmy modelkami. One dla chudych a ja dla trochę tęższych, bo miałam rozmiar 44. Ten nasz szef był nieznosny. Kiedy spytałam Dyrektora, dlaczego on pracuje w Ośrodku, odpowiedź brzmiała, że On zbliża się do emerytury i to jest miejsce, gdzie najmniej szkody może wyrządzić.

To był bardzo śmieszny rytuał, bo siadałam przy pustym stole a On wchodził i pytał co robię. Odpowiadałam, że nie mam na razie nic do zrobienia, On szybko szedł do swojego pokoju i wiedziałam, że ze dwie godziny będzie zajęty wymyślaniem dla mnie pracy, więc mówiłam mu, że na chwilę wychodzę i spacerowałam godzinę lub więcej.

Kiedy wracałam On z zadowoloną miną przynosił mi pracę, którą miałam zrobić. Byłam właściwie jego zastępczynią, ale ja byłem odpowiedzialna za organizację reklamy. Zrobienie tego, co chciał, brało mi mniej więcej 15 minut i znów powtarzała się historia, bo szedł znów wymyślać coś dla mnie. Robiłam to dla zabawy.

Pokazy mody robiłam w Częstochowie i w innych miastach. Pokazy te były też z fryzurami i z biżuterią. Miałam problem z modelkami, bo w każdym miejscu były nowe i musiałam je uczyć, jak chodzić.

Kiedyś w Katowicach robiłam pokaz mody dla jakiejś spółdzielni i przyprowadziłam Danusię jako modelkę. Powiedziano mi: „Ten Kopciuszek?” Powiedziałam, że bez niej nie zrobię im pokazu. Jak w końcu się zgodzili i na pokazie zobaczyli Danusię, która wyglądała nadzwyczajnie, stwierdzili, że : „Ona jest najładniejsza i jest najlepszą modelką”.

Danusia była bardzo skromna, ale po tym, jak ją ubrano i przygotowano, wyglądała jak gwiazda filmowa.

Danusia była bardzo inteligentna i było mi szkoda, żeby się zmarnowała. Powiedziałam jej, że powinna iść na studia. Ona powiedziała, że chce, ale nie będzie

mogła, bo musi pracować. Poszłam i zapisałam ją na Uniwersytet i powiedziałam, że lekcje może odrabiać w pracy, a jeśli będzie musiała wyjść, to i to załatwimy.

Danusia skończyła prawo i dziś jest doradcą w Sejmie. Po tym, gdy ją spotkałam w Polsce kilkanaście lat temu, powiedziała mi, że te studia to najlepsza rzecz jaka przydarzyła się jej w życiu.

Zakochałam się w malarzu, bo był taki brzydki - ale serce nie służy. Przysyłał mi kwiatki przez P. Pisał do mnie listy na liściach fikusa i wysyłał pocztą gdzie przyczepiano znaczek jakąś szpilką, ale najważniejsze, że to było takie romantyczne.

Miałam z nim poważny problem, ponieważ moja intuicja wiedziała zawsze co On robi.

Dlatego powiedział mi kiedyś:

”Wiesz, ja przez Ciebie nie mogę pracować, bo czuję się jak związany, nie mogę Cię okłamać bo wiem, że Ty w tym samym momencie wiesz co myślę i co robię”.

Pewnego dnia szłam przez miasto i naraz poczułam, że On nie jest sam. Byłam niedaleko od jego domu i postanowiłam tam wstąpić. Przyszłam, ale nie otworzył mi drzwi. Byłam zła, poszłam do domu i nie chciałam więcej o nim słyszeć.

Powiedziałam sobie, że nie chcę żeby do mnie zadzwonił.

On też wiedział, że to byłam ja i szybko poleciał do galerii, bo myślał, że ja tam będę, ale mnie tam nie było. Dzwonił do mnie razem z Panią, która pracowała w galerii, ale o dziwo mój telefon nie dzwonił.

Byłam trochę czarownicą, bo jeszcze jak byłam młodsza, siostra ojca nauczyła mnie przepowiadać przyszłość z kart. Prawdę mówiąc, najpierw to była dla mnie jakby zabawa, ale jak zaczęłam mówić o rzeczach, o których nie miałam pojęcia i wszystko się sprawdzało i zaczęłam się trochę tego bać.

Kiedyś na przykład P. poprosiła mnie :

”Tak dawno nie stawiałaś mi kart.”.

Byli u niej wtedy goście. Postawiłam i zaczęłam mówić, że będzie miała gości z zagranicy. Ona zaczęła się śmiać i powiedziała:

”Przecież sama wiesz, że ja nie znam nikogo zagranicą”. Ja na to jej powiedziałam, że Oni są już w drodze i niech przygotuje pieniądze, bo ją to będzie kosztowało.

P. była rozczarowana i powiedziała:

”No, dziś jakoś Ci nie wyszło”.

Z gośćmi, którzy byli u niej poszła do Klubu, a ja zostałam w domu, żeby się uczyć.

Minęła może godzina i zadzwonił dzwonek u drzwi. Poszłam otworzyć i o mało co nie parsknęłam śmiechem, ale się powstrzymałam, bo przede mną stała para z Czechosłowacji, znajomi P., którzy kiedy przyjeżdżali do Polski, starali się wszystko robić na P. rachunek.

Pytali się o P., powiedziałam, że jej nie ma w domu, ale ja do niej natychmiast zadzwonię. Zadzwoniłam do Klubu i kiedy jej powiedziałam kto przyjechał, P. westchnęła ciężko. Własta z Czechosłowacji spytała, co P. powiedziała, odpowiedziałam, że bardzo się ucieszyła. P. zrobiła mi reklamę w Klubie.

Innym razem moja przyjaciółka z uniwersytetu przyszła do mnie uczyć się ze mną i opowiedziała, że ma poważny problem, bo w Ministerstwie gdzie pracuje nie chciała dać Panu Ministrowi jakichś materiałów, za które była odpowiedzialna i bała się,

że ją zwolnią. Postawiłam jej karty i powiedziałam, że nie ma się czym martwić, bo jej nie zwolnią, ale, powiedziałam, w Twojej rodzinie umrze jakiś mężczyzna, Ona była panną.

Ona mi odpowiedziała, że to niemożliwe, bo już nie ma żadnych mężczyzn w jej rodzinie - wszyscy poumierali.

Po dwóch dniach zadzwoniła do mnie i powiedziała, że zmarł ostatni w rodzinie 42-letni mohikanin. Z pracy jej nie zvonili.

Takich przykładów miałam wiele, ale opowiem o jednym który dotyczył mnie. Mój ukochany malarz postanowił wyjechać na stałe nad morze i zaproponował mi żebym z nim wyjechała. Powiedziałam mu, że na pierwszym miejscu są u mnie studia, a na drugim dopiero On. Obraził się na mnie i wyjechał z inną dziewczyną.

Postanowiłam zrobić operację żyłaków, które mi bardzo dokuczały.

Dzień przed operacją dostałam zastrzyk w żyłak na lewej nodze, a operacja miała być na prawej nodze. Po tym zastrzyku dostałam strasznej wysypki na nodze i bólów. O operacji nie mogło być mowy, tak, że przeleżałam trzy tygodnie w łóżku z bólami i wstać mogłam tylko o kulach. Przychodziła do mnie koleżanka pomóc mi i pewnego dnia poprosiła, żebym postawiła jej karty. Postawiłam, i jak skończyłam powiedziała mi: „Postaw sobie karty”. Nie chciałam mówiąc:

„On wyjechał, nie ma sensu”. Ale Ona nalegała.

Rozłożyłam karty i powiedziałam jej: „Wiesz co, On jutro będzie tutaj o 3-ciej godzinie, przyjechał dzisiaj, ale przyjdzie jutro”. Ona była bardzo zdziwiona, a ja poprosiłam, żeby mi kupiła ładną nocną koszulę, żebym dobrze wyglądała. Rzeczywiście kupiła mi i następnego dnia też przyszła. Punktualnie o godzinie 3-ciej po południu zadzwonił dzwonek w drzwiach. Poszła otworzyć i jak go zobaczyła, otworzyła szeroko usta ze zdziwienia.

„Co Ci się stało” - zapytał. Ona powiedziała:

„Hanka powiedziała, że będziesz tu o 3-ciej”.

„Ja przyjechałem wczoraj” - odpowiedział.

„To też Ona powiedziała”.

Studia skończyłam kiedy już pracowałam w Biurze Projektów Przemysłu Węglowego, jak już pisałam. Po skończeniu studiów, pewnego dnia do naszego oddziału przyszedł Zastępca Dyrektora i zwrócił się do nas :

„Słyszałem, że ktoś tutaj chce się uczyć programowania na komputery”.

Odpowiedziałam:

„Tak, to ja”.

No i posłano mnie do Głównego Instytutu Górniczego i byłam tam około roku. Były tam dwie, czy trzy programistki, ale one trzymały wszystko w sekrecie i nigdy pełnej odpowiedzi na moje pytania nie otrzymałam.

Wtedy komputer, który miał pamięć 32K zajmował całe piętro. To były duże szafy stojące jedna koło drugiej.

Kiedy w końcu napisałam program - to nie zmieścił się w komputerze, nawet kompilacji nie można było zrobić i musiałam go pisać na nowo.

Wtedy pracowało się jeszcze z kartami, na których wyperforowane były dziurki, które komputer czytał. Dziś mało kto pamięta te czasy.

Jak byłam już na studiach, chciałam zacząć pracować w oddziale ekonomicznym, zgodnie ze studiami, ale Kierownik tego działu po prostu mnie nie chciał. Nie to nie, pomyślałam.

Kiedy wróciłam z GIG-u naraz wszyscy mnie chcieli. Sytuacja była trochę śmieszna, bo Dyrektor mnie zawołał, u niego, siedzieli wszyscy kierownicy. Zapytał mnie, gdzie ja chcę pracować, w którym Oddziale. Powiedziałam żartem:

„Kto mi da wyższą zapłatę, to do niego pójdę”.

Wszyscy zaczęli się śmiać, a Dyrektor powiedział:

„Dostanie Pani najwyższą możliwą stawkę, ale ma Pani możliwość wybrać sobie Oddział”.

Kierownik Oddziału Ekonomicznego powiedział:

„Może Pani przyjść do mnie”.

Ja na to odpowiedziałam:

„Kiedy chciałam przyjść do Pana Oddziału, to Pan mnie nie chciał, a teraz ja nie chcę”.

Wybrałam sobie najsympatyczniejszego szefa i mój wybór był doskonały. Byłam bardzo zadowolona z pracy u niego i On ze mnie.

W domu mieliśmy dwa koty, które z psami żyły jak przysłowiowy pies z kotem. Nie pozwalałam kotom wchodzić do mojego pokoju, bo niezbyt je lubiłam i one to chyba czuły, bo za każdym razem, kiedy ktoś otworzył drzwi do mojego pokoju, to jednemu udawało się wbiec i wtedy starał się zasmrodzić pokój, jak tylko mógł.

Na dywanie co 10 centymetrów trochę posikał, a ja musiałam potem czyścić cały dywan.

Pewnego razu Jaśka wpuściła któregoś z kotów do mojego pokoju i jak przyszedłam do domu nie mogłam zrozumieć, co tak śmierdzi. Wyczyściłam wszystko co tylko możliwe, ale smród nie zniknął.

Od czasu do czasu wycierałam kurz na szafach i naraz odkryłam, że kocisko obsiusiało mój globus, który stał na szafie. Nie wiem czy chciał mnie zrobić na złość, czy poprostu wyraził tym, swój stosunek do całego świata.

Przez wszystkie te lata nie przestawałam myśleć o tym kim jestem. Wiedziałam tylko, że jestem Żydówką, ale to nie było wystarczające. To przecież tak naturalne, że człowiek chce wiedzieć kim jest i poznać swoją rodzinę. Z drugiej strony bałam się rozczarowania w przypadku, gdybym ją znalazła. Nie miałam nitki do właściwego kłębka.

To, że jestem Żydówką powodowało, że chciałam być wzorem dobroci i przykładem, bo niestety, ale większość Żydów, których znałam było daleko od wzoru. Myślałam, że chyba dlatego Żydów się nie lubi, bo i ja ich nie lubiłam.

Alinka powiedziała mi kiedyś, że widzi jak mnie męczy to, że nie wiem nic o swojej rodzinie. Zaproponowała mi – jako, że pracowała w Policji - że ma przyjaciela z pracy w Częstochowie, który może będzie mógł mi pomóc. Wzięłam dzień urlopu i pojechałam do Częstochowy. Jej przyjaciel, też wziął dzień urlopu i chodziliśmy po wszystkich możliwych biurach, ale przecież nie znałam nawet swojego nazwiska, tak, że nic nie znaleźliśmy. W końcu On powiedział, że jego żona jest nauczycielką i w jej klasie są dwie Żydówki - może ich rodzice coś wiedzą. Poszliśmy do nich ale ja przecież nic nie

wiedziałaam prócz nazwiska, które nie było moje. W końcu pożegnaliśmy się z tą miłą rodziną i wymieniliśmy numery telefonów na wszelki wypadek.

Chyba rok później, kiedy przypadkowo znalazłam rodzinę, okazało się, że są krewnymi żony mojego wujka, który był bratem mojego ojca.

Cuda Się Zdarzają

Są momenty, kiedy rzeczy niemożliwe naraz stają się realne. Kiedy nie miałam już żadnej nadziei, że mogę znaleźć nitkę do kłębka i dowiedzieć się kim jestem i zrezygnowałam z dalszych poszukiwań, w pewien deszczowy smutny dzień w 1970 roku, kilka miesięcy po śmierci ojca, zadzwonił dzwonek w drzwiach wejściowych. Poszłam otworzyć. Jaśki nie było w domu. Przyszła jakaś nieznana kobieta, która mi powiedziała, że jest ciotką Jaśki. Muszę dodać, że kiedy Jaśka wyszła za ojca - cała jej rodzina odsunęła się od niej, ponieważ rozbiła rodzinę.

Po śmierci ojca, powoli jej rodzina zaczęła się pojawiać u niej. Tak, że jej ciotki nie znałam. Na pierwszy rzut oka wyglądała na bardzo smutną i zaprzętną jakimiś problemami. Jaśki, jak już pisałam nie było, ale było mi żal odesłać ją z niczym, dlatego powiedziałam jej, że Jaśka na pewno niedługo wróci i wprowadziłam ją do salonu Jaśki. Sama poszłam do swojego pokoju się uczyć.

To był ostatni rok uniwersytetu. Wygląd tej kobiety nie dał mi spokoju. Czułam, że coś przeżywa i że czymś się martwi, więc chociaż byłam zajęta postanowiłam trochę z nią posiedzieć. Zaproponowałam jej kawę i przyniosłam koniak, który przywiozłam z Bułgarii a Ona, jak się okazało, przyniosła ze sobą ciastka. Tak rozmawiałyśmy o pogodzie i o różnych nic nie znaczących sprawach. Później okazało się, że jej mąż był w więzieniu.

Kiedy przyszła Jaśka, było mi niewygodnie od razu wyjść ostentacyjnie, bo przecież Jaśki nigdy nie lubiłam, tak, że postanowiłam posiedzieć kilka dodatkowych minut. Kiedy wstałam, żeby wyjść, wszedł syn tej kobiety, mniej więcej w moim wieku. Ona chciała mnie jemu przedstawić, po czym zmieszła się i powiedziała :”Ja wiem, że Pani nie jest córką tej rodziny, prawdę mówiąc nie wiem nawet czy Pani jest adoptowana czy nie”.

Odpowiedziałam jej na to, że wiadomo mi, że urodziłam się w Częstochowie, w Rakowie i pamiętam nazwisko które nie jest moim nazwiskiem. To właściwie nie była odpowiedź na jej pytanie, sama nie wiem dlaczego to powiedziałam.

Kobieta szeptała sama do siebie: „W Częstochowie, na Rakowie?”.

W pewnej chwili powiedziała:

„Ja tam się urodziłam i całe życie tam mieszkam, jakie nazwisko Pani pamięta?”

„Koziarska”- odpowiedziałam, zdziwiona jej reakcją.

„Mój Boże, (tu złapała się za głowę), ja wiem kim Pani jest, jak na Panią patrzyłam, myślałam, że mi Pani kogoś przypomina, teraz wiem. Pani jest podobna jak dwie krople wody do swojego ojca, a nazwisko które Pani pamięta, jest nazwiskiem sąsiadów Pani rodziców. Pani mama na pewno napisała Pani to nazwisko, bo myślała, że może ktoś Panią przyprowadzi do tych sąsiadów. Teraz wszystko jest jasne”.

Stałam jak wrośnięta w ziemię, trudno mi było uwierzyć, że wszystko to naprawdę się dzieje. Kiedy ochłonęłam trochę, zapytałam :

” Kiedy Pani wraca do domu?”

„Jutro rano” odpowiedziała.

„Czy ja mogę pojechać z Panią? Chcę zobaczyć te miejsca, gdzie mieszkałam i może u kogoś zachowało się jakieś zdjęcie moich rodziców”.

Cały czas myślałam, że śnię.

„ Proszę bardzo , z przyjemnością z Panią pojadę i pokażę Pani wszystkie miejsca”- powiedziała zadowolona z siebie.

Następnego dnia wzięłam dzień urlopu i pojechałam z nią do Częstochowy do Rakowa. Cała podróż trwała około półtorej godziny, dla mnie to była wieczność, bałam się, że to wszystko może okazać się pomyłką.

Zaczęłyśmy wędrowkę do wszystkich ludzi, którzy mogli coś pamiętać. Ku mojemu zdziwieniu otwierano nam drzwi, ale nie z łańcucha, a kiedy moja towarzyszka powiedziała kim ja jestem , wszędzie słyszałyśmy tę samą odpowiedź:

„ My nie byliśmy winni Pani mamie ani grosza” - i drzwi natychmiast się zatrzaśkiwały. Tak działo się we wszystkich domach, do których pukałyśmy. Z tych reakcji można było wywnioskować, że ci ludzie byli rzeczywiście winni mojej mamie pieniądze, ponieważ ona miała sklep.

Ja przecież nie przyjechałam szukać pieniędzy, tylko zdjęć.

Wpuszczono nas tylko do domu Koziarskich, których nazwisko pamiętałam. Koziarscy powiedzieli, że zdjęć nie mają i że mamy sklep oni zabrali bo stał pusty.

W międzyczasie opowiedziała mi ta kobieta, że moja mama była sierotą i wychowywała ją i jej brata siostra jej mamy, to znaczy ciotka mojej mamy. Babcia miała natomiast piekarnię. Wzięto mnie tam na podwórko piekarni, które pamiętałam, pamiętałam ten długi drąg który zamykał bramę.

Stamtąd wyprowadzono mojego ojca. Zeszło się kilku ciekawych sąsiadów, a każdy chciał coś dodać. Powiedziałam, że pamiętam, że ojca prowadzono na lewo i że naprzeciwko pamiętam, że był śmietnik. Co do śmietnika zgodzili się, ale stwierdzili, że było niemożliwością, żeby prowadzono ojca na lewo, bo fabryka gdzie pracował znajdowała się po prawej stronie. Ja upierałam się przy swoim, aż naraz ktoś przypomniał sobie, że punkt zborny był na lewo.

Ja już myślałam że to pomyłka i że nie o mnie chodzi.

Prawdę mówiąc, ta podróż dała mi niewiele, tylko zobaczyłam miejsce gdzie spędziłam pierwsze lata mojego życia.

Po miesiącu ciotka Jaśki zadzwoniła do mnie i powiedziała, że za pół litra wódki dostała adres mojego wujka w Anglii. Właściwie to był kuzyn mojej mamy, którego matka wychowywała moją mamę i jej brata (dzieci siostry).

Mój wujek w Anglii miał nadzieję, że może ktoś z rodziny się uratował i napisał do znajomych w Rakowie z pytaniem, czy ktoś wrócił z rodziny. Od tych znajomych zdobyła adres w Anglii.

Miałam bardzo dziwne uczucie w czasie pisania pierwszego listu do wujka w Anglii.

Wujek z Anglii po otrzymaniu mojego listu, natychmiast zadzwonił do wujków w Izraelu, bo okazało się, że tam jest brat mojego ojca i brat mamy, a wujkowie z Izraela zadzwonili do moich wujków w Ameryce. Żona brata mojego ojca zadzwoniła do tej rodziny w Częstochowie, u której byłam z policjantem i Oni zadzwonili do mnie.

Okazało się naraz, że mam rodzinę: brata i siostrę ojca z dziećmi i córkę starszego brata ojca w Ameryce, a w Izraelu brata ojca z dwoma synami i brata mamy z córką. Zaczęła się korespondencja między nami.

Z Ameryki zaczęto przysyłać mi paczki, z którymi miałam problem, bo przysyłano mi takie szmatki, że zastanawiałam się, komu je dać żeby się nie obraził. Jedyne, co w paczkach lubiłam to była czekolada do picia.

Nie potrzebowałam tych rzeczy, bo zarabiałam teraz bardzo dobrze. Mogłam zacząć myśleć o mieszkaniu i samochodzie, na razie jadałam w restauracjach i zapraszałam swoje koleżanki, żeby zamawiały to, na co mają ochotę.

Kupowałam prezenty. To było miłe uczucie dawać prezenty.

Do Izraela napisałam, że nic mi nie potrzeba, że mam wszystko i jeśli oni potrzebują czegoś - to chętnie w miarę możliwości pomogę. Napisałam też, że jak dostanę mieszkanie, będę zupełnie szczęśliwa.

Wujek z Anglii nie zapraszał mnie, chociaż bardzo chciałam do niego pojechać. Było to trochę dziwne, nie wiedziałam co się dzieje, nie wiedziałam też, że moi wujkowie w Izraelu coś knują.

A Oni, jak się później okazało, powiedzieli wujkowi w Anglii, żeby mnie nie zapraszał, bo Oni chcą mnie w Izraelu.

Poszli do głównego rabina Tel-Awivu, opowiedzieli mu moją historię i pokazali moje listy. Rabin znał polski język, ale moi wujkowie przetłumaczyli jemu po swojemu, tzn. z polskiego na nasze. Powiedzieli, że ja piszę z komunistycznego kraju, tak, że nie mogę pisać prawdy i jeśli ja piszę, że będę szczęśliwa jak będę miała swoje mieszkanie, to znaczy, jak ja będę w Izraelu. Udało im się przekonać rabina i rabin Frenkiel zaczął działać.

Początkowo próbowano nawiązać ze mną kontakt przez Belgię. Otrzymywałam stamtąd bardzo dziwne listy: raz pisano do mnie jak do mężczyzny, a raz jak do kobiety. Zanim zaczęła się ta Belgijska korespondencja, wujkowie napisali do mnie, że ciocia Bela do mnie napisze. Ja oczywiście nie byłam na tyle inteligentna, żeby zrozumieć, że dla nich ciocia Bela to Belgia. Pisałam o tym o czym myślałam a Oni tłumaczyli sobie po swojemu moje listy.

Po tych dziwnych listach z Belgii napisałam po prostu, że chcę, żeby ciocia Bela do mnie napisała.

Rabin Frenkiel znał przypadkowo jakąś Panią Belę w Belgii i jej powierzył to zadanie. Kiedy ciocia Bela napisała do mnie bardzo się wzruszyłam, że dostałam list od prawdziwej cioci. Napisała mi, że chce żebym do niej przyjechała w odwiedziny. Byłam cała w skowronkach z radości, że zobaczę w końcu kogoś z rodziny. Ucieszyłam się i napisałam, że bardzo bym chciała, żeby moi wujkowie z Izraela też przyjechali, bo miałam nadzieję dowiedzieć się czegoś o ojcu, ponieważ nie wiedziałam co się z nim stało. Kiedy ciocia Bela zadzwoniła do mnie i mówiła doskonale po polsku, co sprawiło, że byłam bardzo szczęśliwa.

W pracy opowiedziałam całą historię swojemu kierownikowi a On mi powiedział na to:

”Niech Pani jedzie tam, zobaczy jak tam sprawy się potoczą i niech Pani zrobi tylko to co dla Pani będzie najlepsze. Jeśli Pani zechce tam zostać, niech Pani nie ogląda się na nikogo i robi to co chce. Mam tylko do Pani prośbę, jeśli Pani zdecyduje nie wracać, to niech Pani do mnie napisze, będę potrzebował kogoś na Pani miejsce”.

Po trzech miesiącach napisałam list, że nie wracam. Odpisał mi, że powinnam się dobrze zastanowić, bo miejsce w pracy na mnie czeka i jeśli jest mi źle, mogę wrócić. Napisałam znów, że nie wracam. List oficjalny, że zwolniono mnie z pracy bo się nie stawiałam, otrzymałam po pół roku.

To był wspański człowiek, niestety dwa lata później zmarł na raka mózgu.

Zacząłam przygotowywać się do podróży do Belgii do Cioci Beli.

Zamówiłam dla siebie ładne futro, przygotowałam dwie walizki pełne prezentów dla rodziny. Nie chciałam się pokazać jako uboga krewna. Chciałam im pokazać, że niczego nie potrzebuję, że mam wszystko czego mi potrzeba.

Zamówiłam Paszport i pojechałam do sanatorium leczyć moje stawy. Moja przyjaciółka, która pracowała na policji załatwiła mi przyspieszenie paszportu, tak, że jak wrociłam z sanatorium paszport był gotowy.

W sanatorium, ostatniego dnia, zawołano mnie na konsylium lekarskie i powiedziano mi, że według wyników moich badań mam przed sobą 5 lat normalnego życia, a potem będę sparaliżowana i przykuta do łóżka, bo stan moich stawów jest bardzo poważny. Pierwsze dwa dni po tym wyroku przepłakałam, ale w końcu pomyślałam, że co, będę te 5 lat płakać? może lekarze się mylą?

Wieczorem, przed wyjazdem do Belgii zaprosiłam 12 osób. Byli to moi przyjaciele i moja miłość, z którym po wielu rozstaniach stwierdziłam, że wszystko między nami skończone. On mi na to odpowiedział :

„Ale przecież mieliśmy w rękach rajskiego ptaka”.

„Tak, ale zabiliśmy go”- odpowiedziałam.

Na to ostatnie spotkanie przyszedł i nawet próbował mnie przekonać, że kiedy urządzę się gdzieś na stałe, żebym go zaprosiła to przyjedzie i będzie ze mną. Powiedziałam, że na to już za późno. W końcu nad ranem, wypiliśmy pożegnalnego szampana. Miałam 12 kryształowych kieliszków, a ja piłam w zwykłym. Po wypiciu powiedziałam, żeby każdy zachował swój kieliszek na pamiątkę.

Wszyscy moi goście odprowadzili mnie na dworzec, tak, że nawet nie zdawałam sobie sprawy z tego ile miałam bagażu, bo część wiozłam do swojej przyjaciółki w Pruszkowie.

W pociągu był tłok, tak, że o miejscu nie mogło być mowy, ale, że byłam bardzo elegancko ubrana i na dodatek miałam w rękach duży bukiet białego bzu - a w zimie to bardzo rzadkie i to robiło wrażenie - tak, że widocznie myślano, że to jakaś ważna osobistość - natychmiast znalazło się dla mnie miejsce w przedziale. Wsiadłam w Częstochowie, żeby odwiedzić tę rodzinę, która okazała się moją.

Tam na dworcu kilka osób pomogło mi zabrać wszystkie moje walizki i torby do taksówki. W odwiedzinach, kwiaty oczywiście zostawiłam u rodziny, a w międzyczasie moje bagaże też i pojechałam do Rakowa, bo ktoś tam jak się okazało, przetrzymał zdjęcie mojej mamy i dał je ciotce Jaśki i od niej, ja je otrzymałam.

Z Częstochowy pojechałam do Warszawy i stamtąd do Pruszkowa.

To były dni pełne wzruszeń. Czułam się po raz pierwszy jak księżniczka z bajki, na którą czekają fascynujące przygody

Dobrze, że moja przyjaciółka Teresa mieszkała blisko dworca kolejowego, bo byłam tam sam, ze wszystkimi bagażami i co parę metrów wracałam po część bagażu, bo nie mogłam wszystkiego naraz zabrać.

Odpoczęłam trochę u Tereni, chyba 3 dni, a jej córka, Małgosia, która miała wtedy chyba 7 lat, siedziała ciągle przy mnie i pytała:

„Ciociu ale na moją Komunię przyjedziesz, prawda?”.

Małgosia tak była przejęta tym wszystkim, że dostała gorączki. Trzymała mnie ciągle za rękę, jakby bała się, że już wyjeżdżam.

Nie mogłam jej obiecać, bo nie wiedziałam, co ze mną będzie. Zostałam tylko dla niej swój złoty krzyżyk, który ja kiedyś dostałam na Komunię - jako prezent na Komunię.

19 grudnia 1971 roku wsiadłam z walizką i torbą do sypialnego pociągu w Warszawie, który miał mnie zabrać do Brukseli, do cioci Beli i w nieznany świat.

W moim przedziale jechały dwie inne, dużo starsze ode mnie Panie. Jedna z nich była Żydówką, kaleką, która jechała do Brukseli w odwiedziny do swoich przyjaciół.

Z Polski, można było wywieźć wtedy dwa litry alkoholu, co oczywiście miałam, miałam nawet żubrówkę „Koszerną na Pesach”. Ale do Belgii, jak się okazało, można było wwieźć tylko pół litra. Moje 4 butelki po pół litra były w jednej torbie, poprzekładane ręcznikami, żeby się nie rozbiły. Belgijski celnik chciał właśnie sprawdzić zawartość tej torby, gdzie były butelki.

Na jego prośbę zaczęłam powoli wyjmować z torby jej zawartość. Sama już zapomniałam co tam włożyłam. A, że robiłam to powoli, machnął w końcu ręką i zrezygnował z dalszych poszukiwań. Po tym, jak wyszedł obie Panie powiedziały, że mogłam pokazać na ich torby, że to moja. Ja odpowiedziałam, że nie mogłam czegoś takiego zrobić bez ich zgody i na dodatek, że ja nie wiem co one mają w torbach.

Było bardzo miło w naszym przedziale, opowiedziałam im o tym że jadę spotkać moją rodzinę której nie znam. Ta Pani, która była Żydówką, prosiła, żebym ją odwiedziła w Brukseli i dała mi swój adres tam, a ja obiecałam, że się postaram.

Dojechaliśmy do Brukseli i pożegnałam się z moimi współtowarzyszami podróży.

Prawdę mówiąc, byłam trochę poddenerwowana.

Moja ciocia z wujkiem czekali na mnie na dworcu. Ciocia była to niewysoka, elegancka Pani, a wujek z zupełnie siwymi włosami. Uściskaliśmy się na dworcu i zabrali mnie do swojego mieszkania

Byłam zachwycona ich mieszkaniem, antykami i luksusem jakiego dotychczas nie widziałam.

Przy kolacji delikatnie zapytałam :”Przepraszam, W jaki sposób jesteśmy spokrewnieni, ze strony mojego ojca, czy matki?”.

„Ja jestem pracownicą Sochnutu”.

„Co to jest Sochnut” zapytałam.

Dała mi jakieś wyjaśnienie, ale ja nie przysłuchiwałam się temu, bo byłam w panice, nie rozumiałam co się dzieje.

„Kiedy moi wujkowie przyjadą?” - zapytałam z nadzieją, że chociaż na to pytanie otrzymam zadowalającą odpowiedź.

„Oni tu nie przyjadą, oni czekają na Panią w Izraelu”.

„Ale ja nie chcę jechać do Izraela” - oczy zapełniły mi się łzami.

Widziałam, że Ona przestraszyła się mojej reakcji, ponieważ była odpowiedzialna za dostawienie towaru (mnie) do Izraela.

Byłam rozczarowana, nie byłam w stanie już nic jeść, zaczęłam się zastanawiać co mam zrobić?.

Przyjechałam, żeby dowiedzieć się czegoś o moim ojcu i rodzinie.

Byłam gotowa zostać w Belgii, ale to nie moja rodzina, w Anglii też, ale w Izraelu?

Zastanawiałam się zawsze:”Jak można żyć w Izraelu w którym mieszkają sami Żydzi?”. Sądząc po moim doświadczeniu, wydawało mi się to niemożliwe.

U cioci Beli, nie czułam się swobodnie. Przywiozłam prezenty dla rodziny i kilka z nich dałam jej i jej przyjaciółom też. Konsul Izraelski w Belgii dostał ode mnie pół litra żubrowki koszernej na Pesach, był zachwycony.

Obwieziono mnie po Brukseli, zabrano mnie na jakiś wiec żydowski. Tam nic nie rozumiałam, bo prawie wszyscy mówili po żydowsku. Prawdę mówiąc, czułam się tam obca.

Nie podobało mi się na wiecu zachowanie moich współziomków.

Ciocia Bela zaczęła się bać, że ja ucieknę z powrotem do Polski, bo miałam powrotny bilet. Widocznie dlatego nie zostawiała mnie samej ani na chwilę.

Po to żeby otrzymać wizę izraelską, zabrała mnie na jakieś badania lekarskie. Pamiętam, że podpisywałam jakieś papiery po francusku, których nie rozumiałam. Byłam jakby we śnie, nic jeszcze nie postanowiłam.

Te papiery, które podpisywałam, zrozumiałam dopiero w Izraelu kiedy pierwszy raz chciałam wyjechać za granicę. Zawołano mnie i powiedziano mi, że zanim wyjadę, muszę zapłacić za swoją podróż do Izraela i za nadwagę mojego bagażu.

Powiedziałam cioci Beli, że chcę odwiedzić Panią, którą poznałam w pociągu. Cocia Bela oczywiście postanowiła pojechać ze mną. To była dzielnica koło Dworca Zachodniego w Brukseli, jeśli się nie mylę.

Patrzyłam na oświetlone okna, najpierw myślałam, że to sklepy, okazało się, że w tych oknach siedzą ledwo ubrane dziewczyny. W pierwszej chwili nie mogłam tego zrozumieć, to było szokiem dla mnie. Nikt nie wiedział, gdzie jest ulica, której szukałyśmy. W ogóle niewielu mężczyzn było na ulicy, chociaż dla panów pokaz ciał na sprzedaż jest atrakcyjny. Tych okien było wiele, a w każdym siedziała na wpół rozebrana młoda dziewczyna w zachęcającej pozie.

Chciało mi się śmiać jak popatrzyłam na ciocię Belę, bo miała bardzo niewyraźną minę.

Znalazłyśmy w końcu ten adres i spędziłyśmy tam z Panią Marią z pociągu i jej przyjaciółką jakieś dwie miłe godziny. Okazało się, że ta Pani z Belgii zna mojego szkolnego kolegę i jego rodziców, którzy są w Izraelu. Otrzymałam ich adres. Jego rodziców dobrze znałam, bo mnie wiele razy do siebie zapraszali. Ucieszyłam się, że w Izraelu jest ktoś kogo ja znam.

Nadszedł dzień wyjazdu do Izraela. Odwieziono mnie na lotnisko, żebym czasem nie uciekła z powrotem do Polski. Ciocia Bela poradziła mi żebym włożyła wszystko do walizki i do torby, i nie brała niczego do samolotu. To było przyczyną tego, że musiałam zapłacić za nadwagę.

W samolocie panowała bardzo dziwna atmosfera. Prawie wszyscy kręcili się rozmawiając po żydowsku, jak gdyby wszyscy znali wszystkich. Większość pobożnych. Czuło się, że to ludzie interesu.

Koło mnie siedział młody człowiek, który zaczął rozmawiać ze mną angielsku i opowiedział mi, że jedzie do Izraela, żeby poznać swoją narzeczoną, którą mu znalazł tenże rabin Frenkiel, który załatwił moje porwanie. Wtedy nie wiedziałam jeszcze o tym. Rabin Frenkiel przygotował dla niego narzeczoną. Zapytałam tego młodzieńca zaskoczona:

„Jak to Pan jeszcze nie widział swojej narzeczonej i już zdecydował się Pan z nią ożenić?”.

„Ja jestem bogaty, a ona biedna a rabin Frenkiel powiedział, że to dobra dziewczyna i pobożna, dlatego się z nią ożenię”- powiedział zupełnie naturalnie.

Byłam tak zaskoczona, że zaczęłam podejrzewać, że jadę do miejsca w, którym czeka na mnie wiele niemiłych niespodzianek. Częściowo miałam rację.

„Co za dziwny kraj i co za dziwne obyczaje” myślałam strwożona, co mnie tam czeka.

„To kraj w którym cały rok świeci słońce”- przypomniałam sobie słowa cioci Beli.

„Co teraz będzie?”- myślałam - „Jaka jest moja rodzina?”,

„Czy na mnie czekają? Jak będę z nimi rozmawiać? Czy pamiętają jeszcze polski język?”- w głowie kotłowały mi się myśli. W samolocie czułam, że ja nie należę do tej publiczności.

„Co ja mam z nimi wspólnego?”- myślałam.

Postanowiłam, że jak mi się nie spodoba, spotkam i poznam rodzinę i wrócę do Polski.

Ta myśl mnie uspokoiła, bo przecież nikt nie mógł mnie zmusić do pozostania w Izraelu.

Ziemia Obiecana

Po wylądowaniu samolotu rozległy się oklaski – teraz mi wiadomo, że to należy do zwyczaju Izraelitów, w pierwszym momencie mnie to zaskoczyło.

Poszłam razem ze wszystkimi do odprawy paszportowej, zaczęto mnie wypytywać. Nie pamiętam już, o co mnie pytano, pamiętam, że byłam w takim napięciu, że się rozpłakałam.

Kilka osób czekało na wychodzących z odprawy paszportowej. Była między nimi starsza ode mnie chyba o kilkanaście lat kobieta, która przyglądała mi się z zaciekawieniem i zapytała po polsku:

„Ty jesteś Hanka?”

„Tak” odpowiedziałam przez łzy.

„Jaka Ty jesteś piękna” - wyrwało się jej z ust.

Ta jej deklaracja tak mnie rozśmieszyła, że się roześmiałam.

„Nazywam się Dziunia i pracuję z rabinem Frenklem. Twoja rodzina czeka na Ciebie ze wzruszeniem. Zabiorę Cię do nich” - wyrecytowała prawie jednym tchem.

Najpierw czekałyśmy, na odprawę walizek, potem podeszłyśmy do grupy ludzi stojących w oczekiwaniu na krewnych lub znajomych.

Moi dwaj wujkowie z rodzinami stali z bukietami kwiatów i moim zdjęciem przyczepionym do bukietów. Bardzo mnie to wzruszyło. Po tym, gdy wyściskaliśmy się i wypłakaliśmy się, mój kuzyn Arie włożył moją skórkową elegancką walizkę do bagażnika, nas ulokował w samochodzie i ruszyliśmy w drogę do domu brata mojego ojca. Brat mamy z żoną i córką wrócili do Natanii.

Był już późny wieczór. Deszcz lał jak z cebra. To było 27 grudnia 1971 roku. Rozmawiałam trochę z moim niezbyt rozmownym kuzynem po angielsku, bo siedziałam z nim na przednim siedzeniu. Wujek słabo mówił po polsku, a ciocia jeszcze gorzej.

Przyjechaliśmy do ich skromnego i zimnego domu. Szybko położyli mnie spać, żebym odpoczęła po podróży i wzruszeniach.

Wstałam rano i wyjrzałam przez okno. Deszcz nadal lał jak z cebra. Widziałam przed sobą kilka drzew, piasek a naprzeciwko taki sam budynek.

Zapalono piec naftowy, ale to niewiele pomogło, było bardzo zimno a z pieca wyczuwało się niemiły zapach. Było mi zimno i smutno. Następnego dnia wujek postanowił, że ciocia weźmie mnie do centrum Tel-Awivu, kupić mi ciepłe domowe pantofle. Nie miałam pieniędzy, bo legalnie można było wywieźć z Polski 5 \$, a ja miałam dodatkowo nielegalnie 10 \$. To był cały mój majątek.

Ciocia zabrała mnie do Centralnego Dworca Autobusowego, bo tam znajdują się uliczki z tanimi butami.

Wieczorem to miejsce wygląda okropnie: brudne, pełne ludzi. W pewnym momencie zobaczyłam kobietę, załatwiającą swoją potrzebę na chodniku. To mi wystarczyło. Postanowiłam uciec, bo jeśli Tel-Aviv, największe miasto w Izraelu wygląda tak, to ja nie mam co tu robić, jak najszybciej muszę stąd wydostać.

W przeciągu trzech dni lało. W Jerozolimie spadł śnieg.
„Gdzie to słońce o którym ciocia Bela mówiła?”

Byłam w depresji. Trzeciego dnia zadzwoniła do mnie niejaka Pani Rotenstreich, mówiąca dobrze po polsku i powiedziała, że chce pokazać mi Tel-Aviv.

Pani Rotenstreich przyjechała po mnie samochodem z inną Panią, bardzo miłą i zabrała mnie na moje życzenie, do muzeum Tel-Awivskiego. Pokazała mi trochę Tel-Aviv, zaprosiła mnie do kawiarni i do swojego domu - bardzo eleganckiego. Trochę się uspokoiłam, bo zobaczyłam, że Tel-Aviv to ładne miasto.

Pani Rotenstreich była żoną głównego sędziego Izraela i rabin Frenkiel prosił ją, żeby się mną trochę zajęła.

Ta druga Pani powiedziała, że zapozna mnie z bardzo miłą Panią Tamarą, która mówi po polsku. Ucieszyłam się bardzo. Rzeczywiście, Tamara zadzwoniła do mnie następnego dnia. Powiedziała mi w jaki autobus wsiąść z miejsca gdzie mieszkam i że spotkamy się na ostatnim przystanku, tam Ona na mnie poczeka.

Następnego dnia wyruszyłam na przystanek autobusowy. Wujek dał mi trochę pieniędzy, na drobne wydatki. Prawdę mówiąc, to nie było miłe przyjmować od niego pieniądze, ale nie miałam wyjścia.

Tamara czekała na mnie na przystanku. Zobaczyłam ładną, elegancką kobietę i prawdę mówiąc, od razu przypadłyśmy sobie do gustu. Była starsza ode mnie o 10 lat ale przyjaźń ta przetrwała wiele lat, i była dla mnie bardzo ważna, ponieważ miałam z kim porozmawiać i czasami poradzić się, aż do momentu kiedy Tamara poszła do domu starców, bo nie mogła chodzić. Bardzo ją lubiłam.

U wujka w domu pierwsze dni były bardzo dziwne. Następnego dnia po przyjeździe, po obiedzie wujek zapytał mnie, czego chcę się napić. Odpowiedziałam: „Kawy z mlekiem”.

„Nie wolno po mięsie pić mleka” - powiedziała ciocia.

Myślałam, że Ona nie może, ze względów zdrowotnych, dlatego odpowiedziałam, że ja mogę. Nie wiedziałam o co chodzi.

Mój biedny wujek przyniósł mi kawę z mlekiem, pomimo sprzeciwów cioci.

Później chciałam jej pomóc pozmywać naczynia. Jak zobaczyła co ja robię krzyknęła: „Nie wolno myć razem mlecznych i mięsnych naczyń”.

Teraz już byłam przekonana, że coś z moją ciocią nie tak.

Myślałam, że ona po prostu jest chora. Patrzyłam na wujka i na kuzyna i widziałam, że oni nie reagują.

Pomyślałam, że przyzwyczaili się do jej dziwactw.

Dopiero jak mi wyjaśniono, że nie miesza się mleka z mięsem wg religii żydowskiej, więcej już wujka nie prosiłam o kawę z mlekiem po mięsie. Ale tym, że pierwszy raz jak prosiłam, zrobił to dla mnie - kupił sobie moją sympatię.

Powoli wujek opowiedział mi, co wiedział o moim ojcu i mamie.

Powiedział, że moi rodzice dużo pomogli całej rodzinie i on czuje się zobowiązany w stosunku do moich rodziców.

Przyprowadził swojego kolegę, który był z moim ojcem do ostatniej chwili. Był z nim w Buchenwaldzie. Podczas gdy Niemcy wycofywali się, prowadząc więźniów na zachód, ktoś powiedział mojemu ojcu, że mama i ja już nie żyjemy. Ojciec załamał się upadł i został zastrzelony przez Niemca. Ten człowiek był tego świadkiem.

Z młodszym kuzynem, który nazywa się Arie, trudno było nam nawiązać kontakt, nie był zbyt rozmowny, a drugiego kuzyna jeszcze nie poznałam, bo był w szpitalu w Jerozolimie na leczeniu. Był inwalidą po sześciodniowej wojnie.

Chciałam sobie coś uszyć, bo nie wzięłam ze sobą prawie żadnej odzieży. Posłano mnie do kuzynki cioci w Hulonie, która była krawcową i pozwoliła mi uszyć sobie kilka rzeczy na jej maszynie do szycia.

Na drugi dzień pobytu w Hulonie, przyszły do mnie dwie Panie i jedna z nich powiedziała mi wprost:

”Nazywam się Maria, mam córkę i syna. Mój zięć kroi trupy i tańczy”.

Ja zaniemówiłam, a Ona się roześmiała i powiedziała :

”Mój zięć studiuje medycynę, a wieczorami tańczy”.

To zabrzmiało już trochę lepiej.

Pani Maria powiedziała mi, że mogę z nią od razu jechać do Jerozolimy, bo załatwiono mi tam Ulpan (miejsce gdzie cudzoziemcy i nowi emigranci studiuja hebrajski), który znajduje się w pobliżu jej mieszkania.

Odpowiedziałam jej, że chcę skończyć to co szyję i zabrać swoje rzeczy od wujka i że ja przyjadę sama do Jerozolimy. Poprosiłam ją, żeby dała mi swój adres.

Ulpan zaczynał się 15 stycznia. Przyjechałam do Jerozolimy, ale nie bez przygód. Pani Maria mieszkała na ulicy Yehuda, a taksówka mnie przywiozła na ulicę Ben-Yehuda. Widziałam, że coś jest nie tak. Taksówkarz nie mówił po angielsku, a ja nie mówiłam po hebrajsku.

W końcu ktoś z przechodniów nam pomógł i dojechałam szczęśliwie na miejsce. Pani Marii nie można było nie lubić, od razu jej dom stał się moim domem. To nadzwyczajny człowiek: mądra, szczerą, otwartą i z poczuciem humoru.

Pracowała w miejscu, gdzie przyjeżdżała młodzież z zagranicy uczyć się hebrajskiego, żeby być potem nauczycielami za granicą. Młodzież lgnęła do niej jak do matki. Była zastępczą matką dla wszystkich dookoła, włączając mnie.

Każdy przychodził do niej ze swymi radościami i smutkami, a dla każdego miała dobre słowo lub dobrą radę. W Polsce pracowała w sierocińcu.

Po dwóch dniach u niej przeprowadziłam się do Ulpanu, a po lekcjach przychodziłam do niej, tam czułam się w domu. Do Ulpanu miałam pieszo kilka minut. Kiedy zachorowałam to leżałam u niej, a Ona się mną opiekowała. Potem, jak Ona zachorowała, ja z radością opiekowałam się nią.

W Ulpanie było bardzo zimno, a naftowe piece powodowały u mnie bóle głowy. W Ulpanie było dużo emigrantów z Rosji, a ze mną w pokoju mieszkała młoda, szczupła Brazylijka, bardzo miła, chyba z bogatego domu, bo z pieniędzmi się zupełnie nie liczyła.

Nasza nauczycielka na Ulpanie nazywała się Simcha (co znaczy – radość). Była bardzo miła i była też doskonałym pedagogiem. W naszej klasie był zbiór z całego świata, była też siostra klasztorna z Niemiec.

Pierwsze zadanie domowe, które zadała nam nauczycielka do domu pisałam u Pani Marii. Wzięłam zeszyt w rękę i odwróciłam go, bo wiedziałam, że pisze się odwrotnie, ale pomyślałam jak odwrotnie to chyba zupełnie odwrotnie i zaczęłam pisać od dołu do góry. Zaczęłam narzekać, że to bardzo niewygodnie tak pisać. Pani Maria powiedziała, że przenosi się normalnie. Po napisaniu zadania dałam jej, żeby sprawdziła czy dobrze napisałam.

Pierwsze jej słowa były :”Dlaczego zaczęłaś od połowy stronicy”.

„Jak to od połowy, zaczęłam od początku”- oburzyłam się.

Jak zrozumiała, jak ja pisałam, parsknęła śmiechem i długo jeszcze śmiałyśmy się na ten temat.

Myślałam czasami o powrocie do Polski, ale narazie byłam zajęta nauką hebrajskiego. Na lekcjach brałam czynny udział i starałam się wynieść z tych lekcji jak najwięcej. Bardzo mi był pomocny język angielski, bo od razu tłumaczyłam sobie hebrajski na angielski.

Miałam w klasie konkurentkę - młodą dziewczynę z Argentyny. Obie byłyśmy najlepsze i to było dla mnie dopingiem, bo zawsze chciałam być najlepsza. Ten doping był dla mnie pożyteczny.

Po dwóch miesiącach kiedy poszłam szukać pracy powiedziałam w czym pracowałam i co umiem robić. Zapytano mnie :

„Ile czasu jesteś w Izraelu?”. Tutaj używa się bezpośredniej formy na „Ty”. Odpowiedziałam, że dwa i pół miesiąca.

„Ile czasu uczyłaś się hebrajskiego?”- padło następne pytanie.

„Dwa miesiące”- odpowiedziałam.

„Ile lat uczyłaś się przedtem?”.

„Wcale się nie uczyłam, pierwszy raz usłyszałam hebrajski tutaj, w Izraelu”.

Na początku powiedziałam im, że jestem Magistrem Ekonomii i pracowałam jako programistka na komputery.

„Co? I tak swobodnie rozmawiasz z nami. Widzę, że nie będzie z Tobą kłopotów, przyjdź na egzamin za dwa dni”.

Przyszłam na egzamin. Dano mi do napisania jakiś program na Komputer i jak napisałam zapytano mnie:

„Chcesz zacząć pracować od jutra?”

„Nie”- odpowiedziałam - „chcę najpierw skończyć Ulpan”.

„Dobrze, skończ Ulpan i następnego dnia przyjdź do pracy”- powiedziano mi.

Byłam bardzo zadowolona, bo mogłam jeszcze uczyć się w Ulpanie dodatkowe cztery miesiące i nie musiałam martwić się o pracę.

Na egzamin przyszło nas pięcioro z naszego Ulpanu a przyjęto dwoje: mnie i jednego młodzieńca z Rosji.

Pierwszy raz mogłam się uczyć i nie pracować - to było dość przyjemne.

Bardzo lubiłam Izraelski klimat, w lutym chodziłam w letnim płaszczu i upajałam się widokiem pięknych kwiatów, w większości dla mnie nieznanych.

Na początku nie mogłam zrozumieć, dlaczego tutaj słucha się wiadomości co godzinę, co mogło się zmienić w czasie godziny? Ale szybko zrozumiałam.

Zaskoczyła mnie ilość kotów w Izraelu i zwróciłam uwagę na aroganckie zachowanie dzieci w stosunku do swoich rodziców. Ja nigdy bym się nie odważyła tak odnosić do starszych, to było dla mnie nie do pomyślenia.

Odwiedziłyśmy z Panią Marią mojego kuzyna Zwikę w szpitalu „Hadasa” w Jerozolimie. Kupiłam mu , ku jego wielkiej radości pięknego tulipana z cebulką. Był to pierwszy raz, kiedy zobaczył tulipana i przez wszystkie lata tutaj nie zapomniał o nim..

W Jerozolimie zakochałam się od pierwszego wejrzenia, to piękne miasto. Lubiłam wędrować po wąskich uliczkach Starego Miasta, szczególnie w soboty. Robiłam tam też zakupy jak czegoś potrzebowałam. Od czasu do czasu jeździłam do wujków w odwiedziny, szczególnie do brata ojca, bo wtedy mogłam spotkać się z Tamarą.

Szłam pieszo do niej dwie godziny, żeby zaoszczędzić pieniądze na przejazd, a z powrotem jak autobusy już jeździły - wracałam autobusem.

Wujkowie dawali mi za każdym razem kieszonkowe. Moje protesty nie pomagały, bo wujkowie wiedzieli, że jestem w Ulpanie i że nie mam ani grosza. Wujek dawał mi oczywiście tak, żeby ciocia nie wiedziała.

Powoli zaczęła cichnąć we mnie chęć powrotu do Polski.

W Ulpanie ogłoszono, że jest wycieczka na Synaj. Bardzo chciałam jechać, ale nie miałam pieniędzy, a wujków nie chciałam prosić.

Cały czas byłam też z Dziunią w kontakcie i bardzo się zaprzyjaźniłyśmy. Opowiedziałam jej o wycieczce, a Ona stwierdziła, że ja muszę jechać na tę wycieczkę. Zorganizowała przez Biuro, w którym pracowała sfinansowanie tej wycieczki dla mnie.

Wycieczka była w Pesach (Pascha). Weszliśmy do autobusu i w tym momencie były wiadomości w radio. Okazało się, że na lotnisku w Lod Japończyk Kozamoto zabił 25 ludzi. To mną wstrząsnęło. Byłam pełna goryczy i żalu.

„Dlaczego ich zamordował? Dlatego, że byli Żydami?. Nie dosyć Żydów zamordowano w czasie wojny? Sześć milionów to nie dosyć?”. Gotowało się we mnie i nagle poczułam solidarność z tym krajem i z tym prześladowanym przez wieki narodem i zrozumiałam, moje miejsce jest tutaj.

To jedyny kraj w, którym nikt nie wskaże na mnie palcem i powie :”Żydówka”, bo tutaj jestem u siebie w domu.

Wycieczka na Synaj to było naprawdę wielkie przeżycie, nie mówiąc o niepowtarzalnych widokach i o miejscach, które widzieliśmy. Spaliśmy w śpiworach pod niebem tak pełnym gwiazd, których w żadnym innym miejscu nie można zobaczyć. Gwiazdy były tak blisko, że miało się wrażenie, że wystarczy wyciągnąć rękę i one same przyjdą do naszych rąk.

Zanim poszłam spać, szukałam ustronnego miejsca i szukałam tak dobrze, że w ciemnościach wpadłam do jakiegoś rowu.

Wygrzebałam się z niego nieźle potłuczona, ale milczałam. Nie powiedziałam nikomu, bo o 2-giej w nocy mieliśmy zacząć się wspinać na górę Synaj i ja bałam się, że mi nie pozwolą.

O drugiej w nocy zaczęliśmy wspinaczkę. Żeby się nie zgubić w ciemnościach, szliśmy trzymając się za ręce, taki żywy łańcuch. Kiedy weszliśmy na szczyt zaczęło się rozjaśniać i prawdę mówiąc, tak pięknego wschodu słońca w życiu nie widziałam. To było coś nie do opisania. Z jednej strony góry, księżyc i gwiazdy a z drugiej słońce, które trochę wzeszło, jakby wróciło na chwilę i znów wzeszło z większą mocą. Ten widok pozostanie mi na zawsze w pamięci.

Kiedy byliśmy jeszcze u stóp góry, przed wspinaczką, koło klasztoru Santa Katerina ja z dwoma koleżankami zbliżyłyśmy się do tego klasztoru. Byłyśmy zdziwione, że pozwolono nam wejść i zobaczyć wewnątrz. Do dziś pamiętam, jak pokazano nam budowlę, w której było mnóstwo czaszek zmarłych zakonników. To było naprawdę surrealistyczne.

Potem wszyscy nam zazdrościli, że udało nam się dostać do wnętrza klasztoru. Zejść z góry Synaj to też niełatwa sprawa, bo jest 1000 schodów, ale wysokich schodów, tak, że, trudno jest schodzić. Kiedy byliśmy już na dole powiedziałam, że się trochę poobijałam poprzedniego wieczoru. Moje rany zaschły razem z moją odzieżą, trudno

było opatrzyć moje ręce i nogi, ale trochę wody ułatwiło tę pracę. Ale gdyby mi nie pozwolono wejść na górę, nie wybaczyłabym tego sobie.

Morze Czerwone również zrobiło na mnie wrażenie, bo w wodzie były takie piękne muszle, które tylko w sklepach można oglądać, a plaża też piękna, choć trochę dzika.

Skończyłam Ulpan i następnego dnia pojechałam do pracy. Z powrotem poszłam pieszo kawał drogi, miałam tylko pieniądze na jazdę w jedną stronę, albo na butelkę czegoś do picia, a był upał, bo to było 16 czerwca.

Miałam czek na 30 lirot więc poszłam do banku, żeby go zrealizować, ale w banku powiedziano mi, że muszę najpierw otworzyć rachunek i dopiero po trzech dniach będę mogła dostać te pieniądze.

Miałam łzy w oczach, ale to mi nie pomogło. Poszłam do Dziuni, która pracowała naprzeciwko. Dziunia, zanim mnie zapytała co się stało, wzięła mnie do bufetu, żebym czegoś się napiła. Byłam tak wysuszona, że nie mogłam mówić. Dopiero po wypiciu całej butelki odzyskałam mowę.

Dziunia ciągle w moich interesach starała się coś załatwić i rzeczywiście, jak wyszłam z Ulpanu miałam już załatwiony pokój w budynku, gdzie były jednopokojowe mieszkania, w dzielnicy w której ten dom był ostatni. Następny dom był już arabski i dzielnica arabska Abu-Tor. Mieliśmy wspólne schody z ulicy.

W naszym budynku było - o ile dobrze pamiętam- 15 pokoi a w każdym mieszkał ktoś z innego kraju. Miałam sąsiadki z Francji, Iranu, Rosji , Ameryki.. Miałam też jednego starszego sąsiada z Polski, którego meble to były kartony, w których układał swoje rzeczy.

Kiedyś spotkałam go niosącego dwa nowe kartony i powiedziałam :

„Widzę, że Pan ma nowe meble, pozdrawiam Pana”.

Śmialiśmy się oboje.

Miałam też starszego sąsiada z Iraku, który chciał zmienić obicie mebli i chciał żebym ja mu to zrobiła. Powiedziałam, że mogę spróbować i rzeczywiście zmieniłam mu obicie a On powiedział mi, że dla niego to była ogromna przyjemność, widzieć jak ja pracuję i że jest bardzo zadowolony z tego, co wyszło i dobrze mi zapłacił.

Zapomniałam opowiedzieć, że moim pierwszym zakupem była maszyna do szycia, najtańsza jaką mogłam znaleźć. Po kilku latach sprzedawałam ją koleżance z pracy i kupiłam sobie dużo lepszą i droższą.

W tym jedynym moim pokoju który posiadałam, znajdował się zlew, kawałek marmuru z szafką pod zlewem i maleńki pokój: toaleta i prysznic razem. Domek ciasny ale własny. Tyle, że pokój był pusty a ja nie miałam grosza przy duszy.

Pani Maria stwierdziła, że nie pozwoli mi na otrzymanie sochnutowego łóżka i zabrała mnie do sklepu z meblami, gdzie wybrałam sobie dziecinny pokój, ponieważ na inny nie miałam miejsca.

Dostałam fundusz na lodówkę i od razu ją kupiłam, bo w tym klimacie obejść się bez lodówki, jest prawie niemożliwe.

Pani Maria zapłaciła za moje meble wszystkie pieniądze jakie miała, całe 500 lirot.

Powiedziała mi:

„Teraz już pracujesz to mi spłacisz z pensji.”

I tak było. Zarabiałam niewiele, ale Pani Maria zapraszała mnie na obiady, które przynosiła ze stołówki lub sama gotowała. Dała mi najpotrzebniejsze rzeczy: jakiś koc, sztućce, wszystko co mogła. Nie wiem jak bym sobie bez niej poradziła.

Po tym, że spłaciłam długi, Dziunia mi powiedziała:

„Ty musisz mieć większe mieszkanie, takie, jak Ci się należy”.

„Dlaczego mi się należy?”- zapytałam.

„Bo taki człowiek jak Ty jest bardzo cenny i należy Ci się”.

„Ale dlaczego mi się należy, jak ja mogę pójść i powiedzieć, że mi się należy, co ja dla tego kraju zrobiłam? Nawet w armii nie służyłam”.

Dziunia ciągle coś tam załatwiała i umawiała się ze mną na dworcu autobusowym, żebym jej coś tam podpisała.

„Co to jest?”-pytałam.

” Nieważne”- mówiła, a, że miałam do niej pełne zaufanie, nie nalegałam. Dziunia uważała, że nic nie jest dostatecznie dobre dla mnie.

Kolega z pracy zbudował mi z dykty ściankę, żeby oddzielić pokój od kuchni, w której prócz zlewu i kawałka marmuru stał też piec, który zdążyłam kupić i lodówka.

Spałam pół metra od lodówki a lodówka miała różne kaprysy. W ciągu pierwszego roku straciłam cały swój urlop na lodówkę, bo ciągle w ramach gwarancji przyjeżdżano i próbowano ją naprawić, szkoda, że bezskutecznie, bo nie dawała mi spać a przesunąć jej nie było można, bo pokój był mały.

Czasami udawało mi się zarobić parę groszy szyciem sukienek lub firanek, tak, że mogłam podreperować mój budżet.

Pięć lat mieszkalam w tym pokoiku, aż pewnego dnia Dziunia mi oświadczyła, że będę miała większy pokój w nowym domu, zamiast 18 metrów kwadratowych 24 metry.

To te wszystkie listy, które jej podpisywałam widocznie to zrobiły.

Z dzielnicy Abu-Tor przeprowadziłam się do Gilo. Teraz Dziunia postanowiła, że muszę kupić to mieszkanie.

„Ale jak ja mogę kupić ten pokój, skąd ja wezmę na niego pieniądze”- pytałam. Dziunia stwierdziła:

„Nie martw się, weźmiesz pożyczki”.

„Ale jak ja je spłacę” - pytałam.

„Spłacisz”- powiedziała.

Zaczęła mnie wołać na spotkania z różnymi ludźmi, którym dawałam czeki, żeby zwrócić im pieniądze, których nie miałam. Zaciągnęłam też dług hipoteczny. Bałam się, jak ja sobie poradzę. Zaciągnęłam trochę więcej pożyczek niż potrzebowałam, bo bałam się, że jak naraz coś się stanie i będę potrzebowała pilnie pieniędzy, skąd je wezmę.

Cała moja zapłata była podzielona na długi, zostawało mi kilka groszy, za które nie można było nic kupić. Pani Maria powiedziała :

”Nie martw się, bo jeść będziesz u mnie i spłacisz wszystko.”

Raz zdarzyło mi się, że ukradziono mi całą zapłatę i byłam w rozpacz, jak spłacę pieniądze w tym miesiącu. Tutaj moi współpracownicy przyszli mi z pomocą i zebrali sumę, którą musiałam spłacić.

Miałam na wszystkie miesiące listy długów: ile komu jestem dłużna. Nie mogłam się doczekać, żeby te moje listy się skończyły.

Co miesiąc oddychałam z ulgą, że znów miesiąc spłaciłam. To był ciężki okres, ale minął, jak wszystko w życiu mija, dobre i złe.

Czułam się zobowiązana, że tylu ludzi mi pomogło i dlatego ja też zaczęłam zbierać odzież, którą przynosili do pracy współpracownicy, naprawiałam ją i rozdawałam tym, którzy potrzebowali. Ciągłe chodziłam z torbami, to brzmi dziwnie, ale brałam od jednych, doprowadzałam do porządku i dawałam drugim. Tak czułam, że i ja coś robię dla innych.

W pracy była bardzo rodzinna atmosfera, większość moich współpracowników pomagała mi szczególnie z hebrajskim. Chociaż mówiłam dość płynnie, w pracy używano terminologii, której nie znałam.

Pierwszy raz kiedy mój naczelnik dał mi pracę do zrobienia, mówił bardzo szybko, tak, że nie rozumiałam co mam zrobić i rozpłakałam się. Koleżanka weszła do pokoju i zobaczyła, że ja płaczę. Zapytała dlaczego, a ja jej wyjaśniłam sytuację. Koleżanka poszła do naczelnika i powiedziała mu parę słów i On przyszedł, przeprosił mnie i wyjaśnił powoli. Od tego czasu starał się mówić do mnie powoli.

Co mnie bardzo irytowało w Izraelu, to próby swatania. Tutaj ludzie nie mogą przejść do porządku dziennego nad faktem, że ktoś jest sam - to znaczy wolny, niezamężny - to wspaniała okazja zrobić „Micwę” (jeden z wielu nakazów Boga, co właściwie jest dobrym uczynkiem).

Każdy chciał na mnie zarobić taką „Micwę”. Nie miałam chwili spokoju, swatano mnie bez końca.

Tutaj wielu mężczyzn ma długie ręce, tak, że pierwsze zdanie, którego się nauczyłam, to było :„Trzymaj ręce przy sobie”. Zanim umiałam to powiedzieć, to albo uderzałam ręką, albo patrzyłam, jakbym chciała natręta zabić, a było takich wielu. Dobrze, byłam wtedy młoda 33 lata, a nikt mi do gustu nie przypadł. Wzięło 10 lat ,aż postanowiłam wyjść za mąż.

Kiedy starszy z moich kuzynów się żenił, miałam problem, bo chciałam dać jakąś przyzwoitą sumę na weselu, a nie miałam ani grosza, bo cała moja pensja starczała na spłatę długów.

Pewnego dnia szłam obok kiosku z loterią i pomyślałam: może warto kupić jeden bilet. Ten bilet kosztował niewiele, ale to były wszystkie pieniądze jakie miałam. Zastanawiałam się kilka minut co zrobić, w końcu postanowiłam zaryzykować i kupiłam ten bilet, chociaż nie wierzyłam, że cokolwiek wygram. Zapomniałam o nim, ale na moje szczęście opowiedziałam koleżance w pracy, że kupiłam bilet na loterię i Ona mi przypomniała i poszła ze mną sprawdzić. Szukałyśmy mojego numeru i nic, wrzuciłam bilet do kosza. Naraz moja koleżanka powiedziała:

”Poczekaj, zdaje mi się, że widziałam ten numer”- wyjęła go z kosza i okazało się, że wygrałam 500 lir. Moja zapłata miesięczna była wtedy około 600 lir.

Byłam szczęśliwa, że mogę dać sumę, za którą nie będę musiała się wstydzić. Dałam oczywiście całą wygraną i było mi miło, kiedy widziałam zdumione miny mojej rodziny, która wiedziała, że nie mam pieniędzy.

U Pani Marii poznałam adwokata z Leningradu, który mieszkał kilka lat w Paryżu. Tam ożenił się, rozwiódł i przyjechał do Izraela jako nowy emigrant. Po kilku miesiącach On otrzymał mieszkanie dwupokojowe i zaproponował mi, żebyśmy zamieszkałi razem.

Zgodziłam się i przeprowadziłam się do niego ze swoimi meblami a w międzyczasie wynajęłam mój pokój.

On miał samochód Renault, ale mnie nie było wolno go ruszać. Bał się, że go zepsuje, bo jego „francużenka” - to znaczy samochód - była najważniejsza.

Nauczył mnie pracować z emalią, a ponieważ ja lubię różne ręczne roboty, to mi się spodobało. Jego siostra powiedziała mi kiedyś, że ja robię ładniejsze rzeczy niż On.

Na razie był bez pracy i trudno mu było znaleźć jakieś zajęcie. Jego prawa na kupienie bez podatku rzeczy takich jak lodówka, pralka i piec kuchenny dobiegały końca, więc zaproponował mi, żebym pomogła mu kupić te rzeczy, a jeśli zechcę odejść, to wezmę te nowe rzeczy, a swoje stare zostawię jemu. Zgodziłam się, wzięłam pożyczkę i kupiliśmy co trzeba.

Mieszkaliśmy ze sobą dwa lata, te rzeczy kupiliśmy po dwóch latach. Ja trzy miesiące później postanowiłam odejść od niego z różnych powodów, ale najpierw udało mi się znaleźć dla niego pracę, bo nie chciałam go zostawić bez środków do życia.

Kiedy się wyprowadzałam, nie dał mi tych nowych rzeczy, które kupiłam, bo powiedział, że ja ich trzy miesiące używałam. Odeszłam ze swoimi starymi rzeczami i wróciłam do swojego pokoju.

Byłam szczęśliwa, że zakończyłam tę historię, chociaż musiałam spłacać długi, które robiłam, aby kupić wymienione artykuły.

On próbował mnie przekonać, że takich jak On nie znajduje się na ulicy, ale ja nie chciałam nawet przyjmować jego telefonów. Powiedziałam telefonistce, żeby go nie łączyła ze mną.

Kolega z pracy pożyczył mi piecyk do emalii, kupiłam emalię w różnych kolorach i płytki miedziane i zaczęłam robić obrazki i mezuzy. Bardzo łatwo to sprzedawałam, bo się podobały i tak spłaciłam pożyczkę, kupiłam używany samochód „Żuczek” ośmioletni od mojej szefowej. Miałam prawo jazdy jeszcze z Polski i odnowiłam go na czas tutaj, wzięłam 3 lekcje jazdy i mój nauczyciel stwierdził, że nie potrzebuję więcej i zaczęłam jeździć.

Właściwie dwa dni jeździłam i poleciałam z koleżanką do Ameryki zobaczyć w końcu swoją rodzinę tam. Pojechałam na prawie dwa miesiące. Byłyśmy u mojej i jej rodziny byłyśmy też w Kanadzie i Meksyku.

Tam w Ameryce, w Yellowstone Parku, wynajęliśmy samochód, ale moja koleżanka bała się go prowadzić, chociaż w Izraelu miała samochód. Tak, że ja prowadziłam go z moim dwudniowym stażem, a Ona miała zajmować się mapą, w sumie niewiele widziałyśmy, bo okazało się, że z mapą sobie nie radziła.

Moja znajoma przysłała do mnie jak wróciłam z Ameryki z pytaniem czy mam jeszcze trochę dolarów, chciała pożyczyć ode mnie. Pożyczyłam jej, a Ona naraz powiedziała mi: „Wiesz ja znam kogoś kto na pewno Ci się spodoba.”

Odpowiedziałam na to, że nie chcę nikogo poznawać, ale Ona nie pytając mnie podeszła do telefonu i zadzwoniła do kogoś.

Byłam na nią zła, bo naprawdę nie chciałam z nikim się wiązać. W rozmowie dała temu komuś mój numer telefonu. Pół godziny po tym jak wyszła, zadzwonił ktoś i powiedział: „Nazywam się Moshe, dostałem Twój numer telefonu od znajomej, która była u Ciebie pół godziny temu i bardzo chcę się z Tobą spotkać.”

Chciałam odmówić, ale był bardzo grzeczny i zgodziłam się. Spotkaliśmy się w umówionym miejscu i poszliśmy do kawiarni. Tam powiedział mi, że jest z Rumunii, jest rozwiedziony, ale ma córkę, którą wychowuje.

To mnie zainteresowało, bo uważałam, że mam dług wobec tych którzy mnie wychowali i powinnam też wychować cudze dziecko, tak jak mnie wychowano. Moshe miał 12-letnią córkę i chyba dlatego postanowiłam wyjść za męża. Prócz tego, nie chciałam być już sama.

Niełatwo jest wychować cudze dziecko, szczególnie dziecko które ma matkę. Na początku mała bardzo chciała, żeby jej ojciec ożenił się ze mną, mówiła mu :

”Ożeń się z Haną (bo tak mnie tutaj nazywają) bo Ona robi dobre ciasta”. Kiedy pierwszy raz przyszedłam do nich do domu, zrobiłam piękny tort, ładnie udekorowałam. Moshe powiedział mi później, że córka cały tydzień nie chciała jeść niczego innego, tylko ten tort.

Awiwa - tak nazywa się córka męża (jej imię znaczy po hebrajsku „wiosna”) - była w trudnym wieku kiedy się pobrałiśmy. Jej matka ciągle ją podjudzała przeciwko mnie, aż do momentu, w którym Awiwa sama zrozumiała co Ona, jej matka robi i zmieniła front. Pewnego razu pojechała odwiedzić matkę, zadzwoniła do mnie od niej i powiedziała:

”Ja już do niej (ona nie nazywała matki mamą, tylko mówiła o niej „Ona”) więcej nie przyjadę, bo Ona źle o Tobie mówi.”

Ja na początku powiedziałam Awiwie, że ja jestem dla niej Hana, bo ma już mamę. Powiedziałam jej też:

”Ja Ci nie zabieram ojca, ja Ci dodaję siebie”.

Patrzyła na mnie zdziwiona, skąd ja wiem co Ona myśli.

Przekonałam ją, że powinna swojej matce mówić mama i rzeczywiście, zaczęła tak ją nazywać.

Pomagałam Awiwie w nauce, ze średniej szkoły w której była, przeniosłam ją do lepszej szkoły a mąż był zły, że przeze mnie nie zrobi matury. Próbowalam mu tłumaczyć, że matura jest ta sama we wszystkich szkołach, a w dobrej szkole ma więcej szans i tak było: zdała maturę z łatwością.

Jej przyjaciółka, która pozostała w poprzedniej szkole, nie zdała matury. Prócz tego Awiwa zrobiła jeszcze pierwszy stopień, to znaczy 3 lata wyższej szkoły, co tutaj się liczy jako BA pierwszy stopień. Z Awiwą jesteśmy w dobrej komitywie. Ze swoją mamą nie ma takiego wspólnego języka jak ze mną. Mnie opowiada do dziś wszystko, czego nawet ojcu nie opowiada, radzi się mnie we wszystkim, a jak jej potrzebuje - zawsze dla mnie znajdzie czas, tak jak i ja dla niej.

Już na moim ślubie nie mogłam jeść, miałam jakieś bąbelki w ustach. Po długich badaniach stwierdzono, że mam rzadką skórną chorobę w ustach, na którą dopóki nie było steroidów umierano. No i tak dwa miesiące po ślubie trafiłam do szpitala, gdzie miałam być pół roku, ale po 4-ch miesiącach zwolniono mnie na moją odpowiedzialność i następne trzy miesiące spędziłam w domu. Cały ten czas pracowałam i w czasie pobytu w szpitalu i w domu.

Przynoszono mi z pracy robotę i do szpitala i do domu.. Powiedziano mi, że do końca życia będę już na steroidach.

W pracy skończyły mi się urlop i dni chorobowe, tak, że każdy z moich kolegów w pracy dał jeden dzień urlopu ze swojej puli. Ja nic o tym nie wiedziałam ,dopiero po kilku latach ktoś przypadkowo mi powiedział. Załatwiono mi też, że przez pozostały okres dostawałam pół zapłaty. Wróciłam do pracy i zaczęło się normalne życie. Pani

Maria była moją moralną podporą przez wiele lat. A potem wyjechała do córki do Południowej Afryki i tam została.
Było mi bardzo jej brak, ale cóż, każdy idzie swoją drogą.

Zakończenie

Prawie co roku wyjeżdżaliśmy z mężem za granicę. Ja jeszcze w Polsce, w czasie studiów co roku jeździłam do krajów Demokracji Ludowej. Byłam w Czechosłowacji, Bułgarii, na Węgrzech, w demokratycznej części Niemiec i w ZSRR, nad Bajkałem i w Moskwie.

W Bułgarii byłam 1964 roku, pamiętam dobrze, bo wtedy była w Europie czarna ospa. Byliśmy w Primorsku, mieliśmy tam piękną plażę, a na zakupy jeździliśmy do Warny.

Grupa z Polski miała jechać po grupie z Niemiec, bo to był międzynarodowy obóz młodzieżowy. Po przyjeździe niemieckiej grupy do Berlina, jedna z dziewcząt miała gorączkę i natychmiast zamknięto nasz obóz, na ile można było go zamknąć. Przed naszym obozem wystawiono duży napis, że wejście do obozu zabronione, ale na szosie zaznaczono jakieś 3 metry, po których mogliśmy przechodzić na plażę.

Najpierw zaczęto szukać, kto miał bliski kontakt z Niemką, okazało się że pięciu ratowników.

Posadzono ich razem w jednym większym namiocie i podawano im jedzenie przez małe okienko. Cały obóz się śmiał, a oni ją przeklinali. Niemki zachowywały się na obozie bardzo swobodnie. W każde popołudnie szły z kocami w las, a chłopaki za nimi.

Zostaliśmy tam dodatkowe 2 tygodnie bo to był okres międzynarodowej kwarantanny, ale w Polsce kwarantanna była 3 tygodnie i nas nie chciano przed upływem trzech tygodni.

Przysłano po nas specjalny pociąg, ale bez wyposażenia, bez koców, nawet herbaty nie można było zrobić. Jechaliśmy tydzień, na żadnej stacji nas nie zatrzymywano, a jak przejeżdżaliśmy, to stacje były puste, bali się zarazy. Tylko raz zatrzymano nas na podmiejskiej stacji „Ferenca Varosz” koło Budapesztu i powiedziano nam, że mamy - nie pamiętam dokładnie - kilka godzin, żeby pojechać do Budapesztu i wrócić.

Wtedy pierwszy raz można było w każdym kraju, przez który się przejeżdżało wymienić o ile pamiętam 150 zł. Prawie wszyscy byli już bez pieniędzy, ja na szczęście miałam.

Ktoś obcy, kogo nie znałam, wszedł do naszego przedziału i zapytał, czy ktoś może mu pożyczyć pieniądze. Ja powiedziałam, że tak i On chciał mi dać swój adres, na co ja powiedziałam, że nie potrzebuję jego adresu, tylko On potrzebuje mój, jeśli chce mi oddać.

Rzeczywiście, po dwóch czy trzech dniach jak wróciliśmy, doszły pieniądze. Pojechaliśmy do Centrum Budapesztu i pierwsze czego szukaliśmy, to miejsce gdzie można coś zjeść. Weszliśmy do jakiejś restauracji, było nas razem pięć osób. Podano nam menu po węgiersku, z którego nic nie można było zrozumieć. Postanowiłam wziąć inicjatywę w swoje ręce i powiedziałam kelnerowi trzy słowa: bulion, stek i czips.

Po jakiejś pół godzinie zrobił się szum w restauracji, kelner w białych rękawiczkach z ręcznikiem przewieszonym przez rękę, a za nim duży wózek pełen różności. Patrzyliśmy dokąd on zmierza i okazało się, że do nas.

Pamiętam tylko, że wszystko było nadzwyczajne, szczególnie że byliśmy wygłodzeni: bulion wspaniały, stek, że palce lizać, kilka rodzajów frytek i jakieś sałatki.

Pojedliśmy do syta i poszliśmy na miasto.

Rozdzieliliśmy się, ja ze swoją koleżanką lekarką poszłyśmy oglądnąć Parlament, a inni poszli w innym kierunku.

Teraz powstał nowy problem - jak dojechać do tej stacji podmiejskiej, gdzie był nasz pociąg.

Ja pamiętałam nazwę, ale nikt nas nie rozumiał. Weszłam na skrzyżowanie do policjanta, który tam kierował ruchem i zapytałam go o dworzec w kilku językach, ale mnie nie zrozumiał. Weszłyśmy do ciastkarni kupić jakieś ciastka i tam zapytałam kasjerkę, ona mówiła po niemiecku i pytała swoją koleżankę, a ja usłyszałam jedno słowo, które utkwiło mi w pamięci: "Udwor" i zrozumiałam, że to na pewno dworzec.

Spotkałyśmy jakiegoś starszego pana, który nas zrozumiał i pokazał nam jakim autobusem tam dojechać.

Na polskiej granicy zatrzymano nas i grupa lekarzy w białych fartuchach przyszła mierzyć nam gorączkę. Byliśmy wszyscy źli, że zamiast zadbać, żebyśmy w normalnych warunkach mogli wrócić do kraju, teraz nas chcą badać.

Między lekarzami, którzy tam byli był lekarz, który zrobił mi szczepienie przeciwko ospie przed moim wyjazdem. Po tym szczepieniu moja ręka nieprawdopodobnie spuchła i miesiąc przeszedł, zanim powróciła do normalnego stanu. Ten lekarz powiedział mi wtedy, że gdybym złapała czarną ospę, nie wyszłabym z tego żywa.

Teraz jak mnie zobaczył wytrzeszczył na mnie oczy, a ja powiedziałam mu : "Tak, ja jestem żywa, jak Pan widzi".

Bardzo ciekawa była też wycieczka do ZSRR, do Moskwy i nad Bajkał. W Moskwie nie wolno nam było rozmawiać z nikim, wszystko było : „Nie nada, nielzia, niewazmožno i nie razrieszajetsa”. To był rok 1968, kiedy w Czechosłowacji były rozruchy.

Bajkał był dla mnie spełnieniem marzenia. Zawsze śniłam, żeby tam pojechać. Teraz mogłam go na własne oczy zobaczyć i śpiewać :

"Na stepach za dzikim Bajkałem gdzie złota szukają wśród gór
Włóczęga swój los przeklinając, zmęczony szedł drogą wśród pól.
On uciekł z więzienia wśród nocy, gdzie tęsknot ogarniał go szal
I dalej już iść nie miał mocy roztaczał się przed nim Bajkał.
Włóczęga do brzegu podchodzi do łodzi rybackiej już wsiadł
I śpiewa o swojej ojczyźnie a smutna piosenka mknie w świat"

To ta piosenka spowodowała, że tak chciałam zobaczyć Bajkał. Do Moskwy jechaliśmy pociągiem, ale niewiele można było zobaczyć, bo po obu stronach linii kolejowej były tak zwane pasy Stalina, to znaczy kilkanaście metrów posadzonych drzew, tak, że zasłaniały widok.

Dopiero blisko Moskwy widzieliśmy lepianki, a w każdej bardzo wysoką antenę telewizyjną.

Moskwa podobała mi się, tylko trudno sobie wobrazić życie w tych ogromnych blokach, jak to się kiedyś mówiło - mrówkowcach.

Nad Bajkał lecieliśmy samolotem kilka godzin, z krótkim przystankiem w Omsku. Jak byliśmy blisko Irkucka, gdzie mieliśmy lądować, prawie wszyscy spali a ja

patrzyłam na chmury, które przybierały różne dziwne kształty. To mnie całkowicie pochłonęło. W pewnym momencie wydawało mi się, że nad chmurami rozlało się srebro. Dopiero po kilku minutach zrozumiałam, że lecimy nad Bajkałem. To był przepiękny, zapierający dech widok. Lecieliśmy na dużej wysokości i wszystko było takie maleńkie, woda błyszczała w słońcu, wszyscy spali, tylko ja wpatrywałam się w chmury.

W pewnym momencie usłyszałam komunikat pilota, że nie możemy lądować w Irkucku. Zrozumiałam to sama, bo lecieliśmy nad Bajkałem, Irkuck był poza nami. Dziwne pomyślałam, że nie powiedział, gdzie będziemy lądować, a możliwości były tylko dwie: Ułan Bator (Mongolia) albo Czita. Rzeczywiście, wylądowaliśmy w Czicie.

W samolocie jeszcze zjedliśmy śniadanie według czasu moskiewskiego, a tutaj było południe. Jak wyszliśmy z samolotu baliśmy się zbliżyć do centralnego budynku, bo tam stała grupa dziwnie odzianych ludzi: w długich płaszczach, z szerokimi pasami dookoła bioder, za pasami długie noże i dziwne czapki.

Przypatrywali się nam, jakbyśmy byli z innej planety. Część z nas chciała iść do toalety, którą można było wywąchać na kilometr, ale jak tylko zbliżyliśmy się tam na jakieś 50 metrów - woń była nie do zniesienia. Ci, którzy nie mogli się powstrzymać, zatykali nosy i biegli szybko w tym kierunku.

W centralnym budynku, gdzie doszliśmy grupą, wprowadzono nas do restauracji, bo były tam stoły i krzesła. Obiadu w życiu nie zapomnę. Podano nam bulion, jeśli można bulionem nazwać: wodę z jakimś tłuszczem i pływało w tej cieczy jajko na twardo.

Drugie danie było niemniej ciekawe, bo na talerzu pływało coś co miało być prawdopodobnie puree, był też kawałek mięsa, którego ani nożem podzielić, ani zębami zgryźć nie było można.

Później przeniesiono nas do czegoś w rodzaju hotelu, gdzie spotkaliśmy dwie Polki, które wróciły z Japonii i opowiadały, że Tokyo bardzo śmierdzi, bo nie ma kanalizacji, ze względu na trzęsienia ziemi. Po kilku godzinach polecono nam wrócić do samolotu, bo lecimy do Irkucka.

Znów przelatywaliśmy nad Bajkałem, tym razem wyglądał inaczej, był podobny do skóry słonia, widocznie był wiatr.

Z Irkucka zrobiliśmy wycieczkę nad Bajkał. Tak czystej wody nigdzie nie widziałam. Podobno w Bajkale żyją bakterie, które oczyszczają wodę. Jeśli w Instytucie Immunologicznym potrzebowano czysty szkielet jakiegoś zwierzęcia, spuszczano na sznurku martwe zwierzę i w ciągu dwóch dni szkielet był czysty. Jeśli ktoś tam się utopi, to nawet nie ma sensu go szukać.

Pogoda tam jest bardzo zmienna. Bajkał jest od stycznia do czerwca pod lodem. My byliśmy w sierpniu i trzeba było zakładać sweter, bo było chłodno.

Na brzegu Bajkału, który zawiera piątą część słodkiej wody na świecie, znajduje się wioska - Listwianka. Jest tam jedyna restauracja, w której wszystko ma zapach ryby, nawet herbata.

W Bajkale, prócz różnych około 1500 rodzajów roślin, żyłaków i ryb, których nie ma w żadnym innym miejscu na świecie, żyje wspaniała i smaczna ryba, która się nazywa „omul” i właśnie tą rybą pachnie w tej restauracji.

Długość Bajkału jest około 700 km, a szerokość 30 km. Głębokość trochę ponad półtora kilometra. Do Bajkału wpływa 360 rzek a wypływa z niego tylko jedna „Angara”. To poprostu fascynujące miejsce.

W Irkucku byliśmy w hotelu, kiedy naraz w radio usłyszeliśmy, że: „Związek Radziecki nie zostawił Czechosłowacji w ciężkich dniach wojny, tak i teraz jej nie zostawi”. Gubiliśmy się w domysłach, co się dzieje, ale mogliśmy słuchać tylko agencji TAS.

W Irkucku byliśmy w jakimś skromnym muzeum, gdzie po raz pierwszy w życiu widziałam bryłę złota, ważącą kilka kilogramów.

Miałam tam ciekawą przygodę. Weszłam do sklepiku z gazetami i przede mną jakaś staruszka poprosiła o wszystkie gazety po polsku. Zdziwiłam się i zapytałam : „Pani jest z Polski?”, ona nie zareagowała, ale jak była blisko drzwi, szeptem powiedziała po polsku: „Ja tylko czytam, bo nie chcę zapomnieć”. Zanim się obejrzałam, zniknęła mi z oczu.

Pewnego dnia spacerowaliśmy po starym drewnianym Irkucku wśród domów z rzeźbami w drzewie i naraz doleciał nas głos Połomskiego. Ktoś nastawił jego płytę, podlecieliśmy do tego okna, wtedy nagle piosenka się urwała. Wyczuwało się tam strach na każdym kroku.

W ogóle Irkuck to było przynajmniej wtedy, bardzo smutne i szare miasto, pełne szarych ludzi, nikt tam się nie uśmiechał. Kogoś z naszej grupy zaproszono do jakiegoś domu.

Opowiedział nam, że mieszkanie było prawie puste, był stół i krzesła a na stole duży kamień.

Kiedy nasz kolega zapytał, po co kamień, ten człowiek mu odpowiedział, że wieczorem bez tego kamienia nie wychodzi, bo niebezpiecznie na ulicach.

Na posiłki przewożono nas pod eskortą i kto się do nas przybliżył, natychmiast go wsadzano na ciężarówkę, która stała obok a potem ich wywożono, nie wiadomo dokąd.

Z posiłkami również było zabawnie, bo kto nie zjadł śniadania - nie dostawał herbaty, to samo było z zupą: kto nie zjadł - nie dostawał drugiego dania. Wydaje mi się, że widocznie bieda spowodowała to zachowanie, nic nie mogło się zmarnować.

Bardzo lubię podróże i każda podróż dla mnie, to nowe przeżycie. Nie mam zamiaru zanudzać czytelnika wszystkimi swoimi podróżami, ale te dwie były naprawdę specjalne.

Później, już z Izraela, też podróżowałam: byłam dwa razy w Stanach Zjednoczonych, w Kanadzie, Meksyku i w większości krajów europejskich z wyjątkiem Grecji, Jugosławii i Lichtensteinu. W Polsce też byłam 2 razy. Szkoda, że nie mogę nadal podróżować, ze względu na stan męża. To co widziałam, bardzo mnie wzbogaciło w przeżycia i mam co wspominać.

Może kiedyś pojadę na wschód do Indii czy Chin, bo drugiego marzenia nie zdołam zrealizować, bo to jest na wysokościach nie dla mojego wieku. A to drugie moje marzenie to Peru: zobaczyć Machu Pichu i Titikaka. Zadowolę się oglądaniem tych cudów w Internecie.

Dzisiaj nasza córka, to znaczy męża córka jest mężatką i ma dwoje dzieci a my jesteśmy podstarzali, chociaż prawdę mówiąc, ja czuję się młoda, pomimo, że mam 70 lat których nikt mi nie daje, co jest bardzo przyjemne. Ale mój mąż, już po drugim wylewie krwi do mózgu, nie może chodzić. Chodzi z trudem i jest już 7 lat po pierwszym wylewie.

Ja wyszłam na emeryturę w 2000 roku 1-szego października, a mąż dostał pierwszego wylewu w końcu listopada.

Pierwszy raz, jak wyjechałam z Izraela za granicę, pojechałam do Danii - mieszkała tam moja przyjaciółka i do Anglii, do wujka, którego chciałam poznać. Byłam zmęczona życiem w Izraelu, bo dwa pierwsze lata były jak dla każdego nowego emigranta trudne: nowi ludzie, inna mentalność i trudności językowe. To męczy, ale po powrocie uspokoiłam się i zrozumiałam, że to najlepsze dla mnie miejsce na świecie.

Izraelski klimat, a szczególnie Jerozolimy, tego przepięknego (pomimo napadów terrorystycznych) miasta, nie zamieniłabym na żadne inne miasto.

To moje życie i moje przeżycia, to są fakty a nie fantazja.

Mam nadzieję, że czytelnika trochę zainteresowałam i nie zanudziłam nikogo.

Spis Rozdziałów

1. Wstęp.....	3
2. Kim Ty jesteś dziewczynko	8
3. Moja nowa rodzina	13
4. Życie w nowej rodzinie, koniec wojny	17
5. Przeprowadzka i szkoła	22
6. Szkoła i menażeria	31
7. Świat się wali	37
8. Czasy Uniwersytetu	47
9. Koniec nauki, nowa praca	59
10. Cuda się zdarzają	68
11. Ziemia Obiecana	75
12. Zakończenie	86